

Jurij Andruchowycz

Rekreacje



świat literacki | 048 biblioteka



Jurij Andruchowycz

– prozaik, eseista, poeta
i tłumacz (1960), mieszka
w Iwano-Frankiwsku
(Stanisławowie) na Ukrainie.

Debiutował w 1985 roku tomem
wierszy, w 1987 założył grupę

literacką Bu-Ba-Bu (wraz z W. Neborakiem i O. Irwanćem).

Od 1991 roku współredaguje wraz z Jurijem Izdrykiem
pismo literackie „Czetwer”. Jego książki ukazują się
w przekładach na wiele języków, najważniejsze z nich
to *Moscoviada* (1993), *Perwersja* (1996), *Erz-herz-perc*
(1996), *Moja Europa. Dwa eseje o Europie zwanej Środkową*
(wspólnie z Andrzejem Stasiukiem, 2000), *Ostatnie
terytorium. Eseje o Ukrainie* (2002).

Rekreacje

swiat literacki | 048 | biblioteka

Jurij
Andruchowycz
Rekreacje

przekład
Ola Hnatiuk

posłowie
Diabły-harce-w-Czortopolu
Jerzy Jarzębski

swiat literacki

IZABELIN

Tytuł oryginału: *Rekreaciji*
© Copyright by Jurij Andruchowycz 1994
© Copyright for the Polish translation
by Ola Hnatiuk
© Copyright for the Polish edition
by Świat Literacki, 1994, 2005
Diable harce w Czortopolu © Copyright by Jerzy Jarzębski

ISBN 83-88612-82-4

Wydanie III, poprawione

Projekt graficzny serii: Grzegorz Laszuk
Łamanie: Świat Literacki

Świat Literacki
skr. poczt. 67
05-080 Izabelin
redakcja@swiatliteracki.com.pl
www.swiatliteracki.com.pl

sprzedaż wysyłkowa
www.czulybarbarzynca.pl

Druk i oprawa:
Opolgraf SA
Opole, ul. Niedziałkowskiego 8–12

*Saszkowi i Wiktorowi, Wiktorowi i Saszkowi,
bez których ta rzecz nie mogłaby powstać
dedykuję*

Czortopole zewsząd otaczają góry
(Z przewodnika z początku XX wieku)

Ty, Gajski, czy też po prostu Gaj, po kiego grzyba siedzisz w tym pociągu, który dopiero pod wieczór wydostał się z nieskończonych, jak się zdawało, równin i gdzieś koło siódmej w końcu dopełził na podgórze? Po kiego czorta jedziesz do tego Czortopola, gdzie – to całkiem możliwe – nie będziesz nikomu potrzebny, a może nawet będziesz zbędny, Gajski? Drugą dobę nudzisz się w tym pociągu, rzuciłeś na pastwę półgłówków swoje pseudonaukowe rozprawy, ryzykując tym samym wykopanie z Instytutu, ale jedziesz; jedziesz, bo wezwano cię telegramem z podpisem samego Felliniego czy też może Hitchcocka, ale nie, to nie tak, telegram od Hitchcocka pewnie zaginął gdzieś po drodze, ty zaś otrzymałeś zaproszenie do Czortopola na niezwykle Święto Zmartwychwstałego Ducha (tak przynajmniej stoi w telegramie, podpisanym „Komitet Organizacyjny”), przyjazd najpóźniej dwudziestego siódmego maja, miejsca w hotelu zarezerwowane, zwrot kosztów podróży i diety gwarantujemy, prosimy o potwierdzenie przyjazdu.

We Lwowie zrozumiałeś, że w kierunku Czortopola zmierza tłum pielgrzymów. Brać studencka i uczniowie zawodówek szczelnie wypełnili wagony bez miejscówek, a gdy tylko pociąg ruszył, wysunęli przez okna mnóstwo niebiesko-żółtych flag i zaczęli śpiewać pieśni Strzelców Siczowych. Z tobą nie mogą się równać, Gajski, ty jedziesz

kuszetką i nie jesteś pewien, czy ktoś oczekuje cię w Czortopolu, gdzie staremu łązędze Stadnickiemu (bo któż jeszcze mógł wysłać telegram z podpisem „Komitet Organizacyjny“?) zachciało się raz jeszcze rozerwać publikę zaskakującym widowiskiem.

Góry początkowo nie są zbyt wysokie, porośnięte nie lasem, a wieżami wiertniczymi, na małych stacyjkach oferują wino własnej roboty, chłopcy w koszulach z wyszywaną pod marmurkowym dżinsem wsiadają do wagonów bez miejscówek i od razu rozwijają zabrane ze sobą flagi, nie trudno się domyśleć, że też jadą do Czortopola. Dziewczęta nie są ładne, ale za to młode, a to wystarczy, Gajski. Zatrzymujesz wzrok na jednej z nich. Nie wiadomo dlaczego nie wsiada do pociągu, stoi na peronie, a pociąg zaraz ruszy, co też ona pocznie, przecież nie zdąży na Święto Zmarłychwstałego Ducha, niech to diabli, i co wtedy? Zawołaj ją, niech wsiada póki czas, no i wołasz, Gajski. Dziewczyna uśmiecha się, ma za dużo złotych zębów, nagle uświadamiasz sobie, że najbardziej podobały ci się w niej dżinsy, więc niezbyt żałujesz, gdy pociąg rusza, a złoty uśmiech Maryński pozostaje na peronie.

W twoim przedziale, Gajski, siedzi ekstrawaganckie małżeństwo Rosjan, a może Żydów, ot, romantycy, odważyli się spędzić urlop w obskurnych karpackich domach wczasowych z korytarzami śmierdzącymi lizolem, z wodą cuchnącą naftą, ale to nic, niech jadą, by odnaleźć w górach swoją szarotkę, on gdzieś koło sześćdziesiątki, ona na oko koło trzydziestki, dlatego wczoraj, po wejściu do przedziału, pomyślałeś, że to ojciec z córką, chciałeś poflirtować, ale stary dość ostro zareagował, więc po prostu z uporu i dla zasady, gdy stała w końcu wagonu, wepchnąłeś ją do wucetu, zamknąłeś od środka i zacząłeś obcałowywać, ona zaś, o dziwo, odpowiedziała tym samym, ty zaś napierałeś na nią, przycisnąłeś jej kufer do umywalki, Gajski, pomyślałeś nawet, czy nie przelecieć by jej tutaj, teraz, w kilka minut, ale pociąg stanął, rzuciło wami, nią i tobą, straciłeś równowagę. Kiedy ty podnosiłeś się z muszli, ona wysliznęła się z klozetu. Więcej nie odezwaliście się do siebie.

Czwarte miejsce w przedziale zwołniało się we Lwowie – wysiadł emerytowany podpułkownik, który, chwalić Boga, do Czortopola się nie wybierał. Została po nim na stoliku „Prawda” i „Gwiazda Czerwona”, wczoraj proponował grę w durnia w parach, ale tyś poszedł do wagonu restauracyjnego, zamówił obiad i przyglądał się przez okno ponurej rosyjskiej równinie.

U nas już prawie lato, kwiecie wiśni opada na młodą trawę, góry wznoszą się coraz wyżej, lasy pachną liśćmi i źródlaną wodą, ryczą jelenie, kukają zazule, zaś w letniej rezydencji Jego Ekscelencji właśnie dobiegają końca przygotowania do sezonu wielkich łowów, podłoga wyczyszczona na glanc, dywany i gobeliny wytrzepane, umyte lustra i okna, jedzenie i picie przywieziono aż z Wiednia, a na wieży trzepocze ojczysta flaga. Tak, niebawem zjadą się szanowni goście w kabrioletach, myśliwska orkiestra powita ich dźwiękiem rogów, Gajski.

Do Czortopola jeszcze godzina jazdy, właściwie to pociąg już powinien był przyjechać, ale spóźnia się, bo teraz wszystkie pociągi się spóźniają, wystarczyło rzucić hasło przyspieszenia, by naraz cały świat zaczął się spóźniać. Zastanawiasz się, czy przyjadą pozostali, jak będzie wyglądać Martoflak – z brodą czy bez, czy dokończył swą powieść wierszem i czy znów zabierze swoją wystrzałową żonę, czasem zresztą zostawia ją w domu z dziećmi, sam zaś rusza w tango, to znaczy pije na umór. To jasne, że Zmartwychwstanie Ducha nie nastąpi, jeśli Martoflak nie przyjedzie. A jeżeli przyjedzie, to przyjadą również Niecnota i Chromolski. Tylko wtedy można będzie coś wskrzesić, do licha.

Nigdy w życiu nie byłeś w Czortopolu, Gajski, kiedyś nawet pewna patriotyczna poetka zmusiła cię do wysłuchania tyrady o tym, że Czortopole jest naszą duchową mekką i trzeba tam choć raz w życiu pojechać, jeśli kocha się swój kraj ojczysty, a każdy pisarz powinien kochać swój kraj, panie Gajski, mówiła tak gdzieś przez godzinę, dosiadła się do ciebie w ukraińskim klubie, w kółko to samo przez godzinę, z nieistotnymi wariacjami, nachylając się, byś mógł ją dobrze słyszeć, ale dobrze to czułeś jedynie nieprzyjemny zapach z jej ust, więc poprzysiągłeś sobie, że ni-

gdy, przenigdy do Czortopola nie pojedziesz, lecz jedziesz właśnie, jedziesz, pozostawiłeś swemu losowi Instytut i Rosję, i Gienię ze skrobanką, jedziesz na dwa dni, przemierzasz tysiąc kilometrów, bo dostałeś zaproszenie od Stadnickiego – genialnego scenarzysty wszystkich czasów i narodów.

Byleby tylko nie okazało się, że będziesz tam samotny i nikomu niepotrzebny, modlisz się w duchu, poza tym Komitet Organizacyjny powinien opłacić drogę w obie strony i koszty pobytu w hotelu, a jeśli nie, to będziesz musiał pożyczyć od Stadnickiego jeszcze ze trzy stówy, Gajski, bo nic cię bardziej nie wkurza, niż picie na cudzy rachunek, taki już jesteś z natury, tylko za własne i tyle, sprawa jest krótka, nie lubię być komuś zobowiązany, kurwa mać. Przeliczasz po cichu zaciągnięte w tym roku kredyty – zbierze się koło tysiąca, ale to nieważne, przecież kończysz właśnie powieść w nowelach, masz zapewnione miejsce w planie wydawniczym na 1992 rok, więc naprzód Gajski, życie jest piękne, przepelnione wagony bez miejscówek energicznie wyśpiewują „raz-dwa, raz-dwa, raz-dwa-trzy”, eto nastojaszczij faszizm*, mówi mąż twojej wczorajszej kochanki, ona zaś nie wie, co odpowiedzieć, zdaje się, że już zaczynają żałować, że wybrali się w tę podróż, po diabła było się pchać w to siedlisko bandytyzmu, skoro w biurze proponowano im znacznie atrakcyjniejsze skierowania w spokojne miejsca, powiedzmy, do Górnego Karabachu czy też Fergany?

W pobliżu Czortopola góry znowu robią się niższe, zbocza bardziej łagodne, za oknami przepływają stare pensjonaty z secesyjnymi wieżyczkami i gipsowymi pionierami, królestwo mineralnych wód i wilgotnych prześcieradeł w zimnych pokojach, na kolejnych stacjach pociąg oblegają wciąż nowe tłumy pielgrzymów, zmierzających do Czortopola z gitarami i plecakami, zdarzają się także przygarbieni dziadkowie i babcie, zapowiedziano przecież przybycie biskupa na święto, nawet dwóch biskupów, jeden ze Lwowa, drugi z Kanady, mają pobłogosławić wszystkich chę-

* To prawdziwy faszyzm.

nych oraz poświęcić drewnianą cerkiewkę Zmartwychwstania, zabytek z osiemnastego wieku, gdzie do niedawna magazynowano papierowe worki z nawozami sztucznymi, Gajski.

A oto i Rzeczka z ogromnymi płaskimi kamieniami na brzegu, szumem wody i zaroślami łopianu na urwisku, teraz most kolejowy, a wsio taki krasiwyje miasta*, mówi twój sąsiad do swej wiernej żoneczki, tak, stary moskalu, życie jest piękne, wjeżdżamy do Czortopola, naszej duchowej mekki, proszę, żeby wszyscy wstali, trzeba sprawdzić, czy czegoś nie zapomniałem, zdążyć mrugnąć na pożegnanie kochance z klozetu i jeszcze raz spojrzeć na swoje odbicie w lustrze.

Właśnie tak, Gajski, długi i szeroki szary płaszcz, tygodniowy zarost w broadwayowskim stylu, włosy zebrane z tyłu w kucyk, ciemne okulary – połowa lat sześćdziesiątych, kapelusz, dokładnie tak, wędrowiec, gwiazda rocka, poeta i muzyk Gajski lub po prostu Gaj, wesoły skurwysyn we własnej osobie uszczęśliwi prowincjonalne Czortopole swoją wizytą.

Z okna w końcu wagonu patrzysz na migające zabudowania stacji, wszystko wskazuje na austriackie pochodzenie dworca, przystrojonego flagami i cerkiewnymi chorągwiemi, peron okupują przybyli na święto goście, dudlą coś prosto z butelki, nie wyskakuj w biegu, Gajski, gdzie Martoflak, gdzie Grzesiek, gdzie Niecnota – same nieznanym gęby, zdarzają się ładne dziewczyny (i chłopcy), wysiadasz na peron trochę niezdarnie, ale na pozór pewnie, niczym hinduski guru – gdzie Stadnicki, niech go diabli, po co się tu przytarabaniłem, to nie dla mnie, no proszę, szczebiocą panienki na kolanach paniczów, a ty, stary capie, jesteś tu zbędny, zabieraj się stąd, ty baranie, w tej krytycznej chwili dostrzegasz uśmiechniętego blondyna o różowych „krew z mlekiem” policzkach w sztywniackim garniturze z papierową plaketką „Komitet Organizacyjny” na piersi, w prawicy dzierży teksturę z napisem „Mr Gaysky, Leningrad”, odetchnąłeś z ulgą – wyszli po ciebie, jesteś im potrzebny, Gajski.

*A jednak to ładny zakątek.

Cztery godziny w autobusie, nawet jeśli to ikarus, to straszna męka, szczególnie dziś, powariowali wszyscy – zlatują się niczym wrony do Czortopola, droga zatłoczona, wszystkie autobusy z flagami, świra dostali czy co, Martoflak zasnął koło mnie jak dziecko, pochrapuje cichutko w zmierzwioną brodę, strasznie jest teraz podobny do Jasia, a ma wątpliwości, czy to jego syn, dureń, broda wygląda jak przyklejona, wielki dzieciak, cymbał, repetent w szkole życia.

Nadzieja ukraińskiej poezji, Rościśław Martoflak, trzydziestoletni bezrobotny ze skłonnościami do tycia i alkoholu, pijak, obibok, kochający ojciec, znany działacz społeczny, kandydat na posła, wspaniały rozmówca, ideał leciwych kobiet, dobry syn, Rościśław Martoflak, amator komfortu i gorącej kąpieli, nocny włóczęga, egoista i tchórz, szlachetny rycerz, szarmancki kawaler, salonowiec, czuły kochanek, nieruchawy i samolubny kochanek, narcystyczny kochanek, wspaniały kochanek, fantastyczny kochanek, promień w moim ciebie, o Martoflaku!

W życiu nie pojechałabym z nim do tego Czortopola, gdyby się nie uparł, postawił nawet ultimatum: jeśli z nim nie pojedę, to narąbie się, uwali się w trzy dupy, dzień i noc będzie chlać, będzie mieszać, rzygać i znowu pić, póki nie przywiozą go do domu na wpół żywego. Wie, skubany, czym mnie zaszantażować, więc musiałam jechać, skłamać dzieciom, że przyjdę za pół godziny, teraz aż serce boli, jak przypomnę sobie Małego; tak patrzył na mnie, jakby wszystko rozumiał, ale naprawdę musiałam skłamać i jechać, bo to dziwo, to gówno na pewno spełniłoby groźbę i spiłoby się jak świnia, pyszni się przecież tym, że zawsze dotrzymuje słowa, ale gada tak tylko, tak naprawdę jedyne, co potrafi, to dobrze się zaprawić.

Czy rzeczywiście tak mu zależy, żebym jechała z nim, czyżby naprawdę miał się nudzić beze mnie? Tam, rzecz jasna, pełno będzie różnych wędrownych dziwek, co jak co, ale znalezienie partnerki do łóżka na Świącie Zmartwychwstałego Ducha nie będzie trudne, pewnie łatwiejsze nawet, niż znalezienie połówki, co prawda on jest za bardzo narcystyczny, by się za nimi uganiać, no ale czy rzeczywi-

ście jestem mu tak potrzebna, i to właśnie tam? Boję się trochę tego przywiązania, to już siedem lat, jak rozbił naczynia na weselu, a coraz bardziej przywiązuje się do mnie, włazi we mnie, chowa się we mnie, zwija się w kłębek jak embriion i śpi, śpi, śpi – i tu, w autobusie, śpi tak samo, z głową na moim ramieniu, kochanie ty moje, szmato bezwolna, niezdolna przygruchać sobie dziewczynę, Rościśław Martoflak, przyszły geniusz, nudny intelektualista, gaduła, dar niebios, perełka, nadzieja wygasającego szlacheckiego rodu, wydziedziczony hrabia, maniak alkoholowy, kameleon, poeta z urzędu, bicz boży, narzędzie szatana.

Najgorsze, że z góry wiem, jak będzie wyglądać to święto w Czortopolu; to samo towarzystwo, Grześ i Niecnota, lowelas Gajski-gejski ze swymi pretensjami, te same żarty, te same wiersze, no, chyba że ten jołop przeczyta coś nowego, kupa wielbicieli, autografy, jeden głupszy od drugiego, nocna popijawa w hotelu, potem Grzesiek zaśnie z głową na stole, Niecnota i Gajski pójdą na baby, przyjdzie Staszek z flaszką i tymi swoimi wyświechtanymi komplementami, przegadamy całą noc o duchach albo o ojczyźnie, zawsze to samo, Stadnicki długo nie da za wygraną, aż nie wytrzymam i zasnę, wtedy wreszcie pójdzie sobie, a Martoflak zacznie sprawdzać, czy wszystkie butelki są puste, będzie brzęczeć szkłem, bulgotać w wannie, palić, potem położy się koło mnie, pokochamy się z pięć minut, zaśnie, a za trzy godziny trzeba będzie wstać, program święta jest przecież przeładowany, a wszyscy chcą zobaczyć Martoflaka, w głowie huczy, oczy podpuchnięte, jakże jednakowe są te święta, to Zmartwychwstanie Ducha, ta pustka!

Poza tym to utalentowani, uczciwi, niespokojni chłopcy, kwiat narodu, dzieci nowych czasów, trzydziestoletni poci, każdy myśli, że jest pępkiem świata, a tak naprawdę to są po prostu niewyżyci seksualnie, zżera ich miłość własna, przecież czytam im to z twarzy, każda minispódniczka powoduje burzę uczuć, nogi w zasadzie nie mają znaczenia, zresztą i tak się na tym nie znają, w ogóle ich wyobrażenie o kobietach jest skrzywione, patologiczne wręcz, tacy leczyć się powinni, szczególnie Gajski ze swoimi wiecznymi historiami z kobietami, Gajski-gejski, co na urodziny Alka

przebrał się za kurwę, umalował się, kołysał biodrami, tańczył z Niecnotą tango, a potem obwieścił, że będzie strip-tease, i wygibując się w rytmie disco zaczął się rozbierać, najlepsze, że miał nawet stanik, już zamykałam oczy, bo ten dureń naprawdę mógł się całkiem rozebrać, potem wyciągnął z majtek ten tego, gumowego co prawda, ktoś mu z Ameryki przywiózł, napełnionego wodą i zaczął łać po wszystkich, a potem rzucił nim w mdlejące z przejęcia dziewczyny, debil.

Śpij spokojnie, Martoflaku, mężusiu, do Czortopola, gdzie zabawimy się wspaniale, jeszcze przynajmniej pół godziny jazdy, w dzieciństwie często przyjeżdżałam tu z rodzicami, znam tę drogę prawie na pamięć, widać już Pisaną Skalę, a za nią akwedukt, mówią, że pamięta czasy imperium rzymskiego, a dalej „Koleba” ze stojącym zapachem szaszłyków, potem muzeum Lanckorońskich w gotyckim stylu (znakomite jeżyny na zboczach, nigdy nie widziałam takiej ilości!), śpij spokojnie, góry nas uratują, przeżyjemy jeszcze sto lat i umrzemy jednego dnia, bo inaczej nie wytrzymasz i zapijesz się, czy na tym, czy na tamtym świecie, co za różnica, zawsze i wszędzie znajdziesz coś do wypicia, znam cię dobrze, alkohol jest dla ciebie niczym krew, pulsuje w twoich żyłach, jest ci z nim ciepło i dobrze, bujasz niby w obłokach, palec skaleczysz, a tu zamiast krwi cieknie wódka, normalnie masz to w genach, nie możesz być inny i z inną dawno byś się powiesił, ale przyfarcilo ci się, durniu, że nie jestem tą inną, ale sobą, panie mój i władco, kochany mężusiu.

Nie wiedzieć czemu wciąż wzdrygasz się we śnie, czasem nawet krzyczysz, teraz też rzuciłeś się jak szalony, wiecznie śnią mu się jakieś koszmary, ale prawie nigdy nie pamięta co właściwie, no i czego gały wytrzeszczasz, czyżbym wciąż jeszcze podobała się dwudziestolatkom, patrzy, bezczelnie wlepia wzrok, ładny chłopak, szczupły, w wyszywanej koszuli i dżinsach, złotowłosa, głęboko osadzone oczy, smukły jak młody bóg. No, tego już za wiele, chłopcze, przecież mimo wszystko jadę z mężem, wprawdzie śpi, ale jest tuż obok. Gdyby ktoś ujął mi tych siedem lat,

może bym podtrzymała tę grę z tobą – grę spojrzeń, oczu, aluzji, było nie było przystojniak z ciebie, nie masz miejsca, biedaku, w przejściu stoisz i nudzisz się, więc przypatrujesz się mężatkom, młody Don Juanie, uwodzicielu, smukła trzcinko, flecie, pewnieś wystąpił z komsomołu i zapisał się do narodowców czy do innej organizacji, czerwono-czarny znaczek, fryzura na Davida Bowie, początkujący playboy, takie to to delikatne, pewnie goli się nie częściej niż raz na dwa tygodnie, Martoflak też taki był, kiedy się poznaliśmy, oho, to przekracza już wszelkie granice, no czego się tu pchasz, przecież jedziemy razem, czyżbyś nie widział, najśmieszniejsze, że Martoflak nawet się nie zbudzi, nie okaże zazdrości, znowu mu się śnią jakieś koszmary, stare dziady w łachmanach, trędowaci mnisi, bagna, czarny pies z wyszczerzoną krwawą paszczą, no tak, i co powiesz, chłopcze, skoro już podszedłeś do mnie, to powiedzże coś, a nie uśmiechaj się głupkowato, ja też umiem się uśmiechać, i to dość zalotnie...

„Przepraszam, czy to pan Martoflak?”. Ach, o to chodzi! Poznał mojego męża! A ja, stara i głupia, uwierzyłam oczom – przecież w ten sposób patrzy się na kobiety. Zaraz będzie prosić o autograf, wyrażać swój zachwyt, na szczęście już dojeżdżamy, za oknem widać pierwsze czortopolskie wille: winorośl, kamienne mury, flagi na wieżyczkach i góry obstepujące wąskie uliczki.

Tak, to on, chłopcze, Rościśław Martoflak, którego tak szanujesz, jesteś prawdziwym fanem mojego męża, więc powinienes przynajmniej ucałować rękę tej, która pierze skarpetki twego idola i gotuje mu zupę, nie śpi, kiedy on pijany włóczy się gdzieś do rana, w towarzystwie polityków i biznesmenów podejrzanego autoramentu, a potem, gdy on odsypia przez cały dzień, ona zasypia w pracy, potem biegnie po dzieci do przedszkola w nadziei, że wieczorem zastanie go w domu, ale jego znowu nie ma, bo musi przechlać co do grosza honorarium, a ty modlisz się do niego niczym do świętego, biedny chłopcze.

„To pan Martoflak będzie czytać wiersze na Święcie Zmartwychwstałego Ducha?”. Oczywiście, że będzie, a co

miałby innego robić, gdyby nie czytał swych genialnych wierszy, byłaby to klęska narodowa albo nawet coś gorszego; być w Czortopolu i nie zaspokoić swej próżności publiczną masturbacją, czytaniem wierszy czy fragmentu powieści wierszem, której przegniły, słowo daję, nie skończy, znam go przecież, ale będzie nadymał policzki, puszył się jak paw przy akompaniamencie hucznych braw, da mi w prezencie kwiaty (a właściwie odda), błyskotliwy i delikatny dzieciak ze zmierzwioną brodą.

No i co, zadowolony jesteś, chłopcze, możesz iść, nie zapomnij kupić biletu na wieczór poezji, bo nie będziesz miał jutro przyjemności z moim mężem, śpiącym prorokiem, który wciąż jeszcze posapuje, choć wjeżdżamy właśnie na dworzec, o mój Boże, ile autobusów, czas go budzić, za piętnaście ósma, o ósmej spotykamy się z resztą na rynku, a on wciąż jeszcze śpi, zupełna dętka, worek z gównem, orator, przyszłość narodu, pusty dzban, straszdyło, szczęście ty moje, ojczyzna moich dzieci, radości mego ciała, mój zdobywco, cudzie, wieczny mój orgazmie, dojechaliśmy, wysiadaj, Rostku.

Jazda przedwojennym chryslerem-imperialem to nie la-da przyjemność, można śmiało wyprzedzać sznur samochodów z sowieckiego rajy, ciągnący się aż do Czortopola i, po wysunięciu się na czoło, przybyć na święto jako pierwszy. Czujesz się wolny, niczym gangster z Chicago lat trzydziestych, którego wiozą na wywczasie gdzieś na Riwierę troskliwi opiekunowie, by tam po cichutku z nim skończyć w jednym z luksusowych hoteli. Na samą tę myśl cieplej się robi.

Grześ Chromolski i Jurek Niecnota prawie godzinę stali na drodze, próbując złapać jakiś samochód, ale nikt nie chciał się zatrzymać, mimo że wszyscy jechali w jednym kierunku – na Czortopole. Właśnie wyczerpał im się zapas papierosów i przekleństw, a perspektywa spóźnienia się na święto stawała się tak realna, jak groźba wojny domowej, gdy pojawił się fantastyczny przedwojenny chrysler-imperial z zagraniczną rejestracją. Miły dobrodziej z siwą bródką, w kraciastym kaszkiecie i szarym podróżnym garniturze zahamował i uprzejmie zaprosił ich do środka.

Jego nienaganny ukraiński, również w przedwojennym stylu, z czego Niecnota natychmiast wywnioskował, że do brodziej w kaszkiecie jest emigrantem.

– Jestem obywatelem Szwajcarii, doktor medycyny Popiel – przedstawił się dziadek, kiedy ruszyli. – Prywatna klinika w Lucernie, kanton Bayonne.

– Chromolski – zakomunikował Niecnota.

– Niecnota – oświadczył Chromolski.

– Bardzo mi miło podróżować w towarzystwie tak sławnych poetów – uprzejmie wprawił ich w osłupienie doktor Popiel.

– Pan o nas słyszał? – Jurek, który siedział z przodu, odwrócił się do niego całym ciałem.

– Wiemy, co się dzieje na Ukrainie – niby wyjaśniając odparł doktor.

– W takim razie niech pan da coś zapalić, bo fajki nam się skończyły – rzucił z tyłu Grześ.

– Ależ proszę – i dwie paczki markowych gauloise'ów wynurzyły się z magicznej kieszeni pana Popiela, na chwilę zatrzymały się w jego prawej ręce i przefrunęły do dziurawych kieszeni wędrownych poetów.

– Najpierw palimy twoje, wyciągaj – zarządził Niecnota, ale Grześ pokazał mu figę, wskutek czego każdy zapalił z własnej paczki.

– Panie Popiel, czy pan nie jest przypadkiem agentem CIA? – zainteresował się Jurek.

– Jestem lekarzem psychiatrą, panie Chromolski.

– Jestem Niecnota.

– O, przepraszam, panie Nieniecnota.

– Nie jestem Nieniecnota, tylko Niecnota.

– Jeszcze raz przepraszam.

– On tak żartuje – wyjaśnił Grześ – niech pan nie zwraca uwagi. Jedzie pan tym samochodem z samej Szwajcarii?

– Ależ nie, kupiłem go sobie we Lwowie.

– Piękny wóz – pochwalił Grześ.

– Dziękuję, mnie też się podoba. Trochę stary.

– Panie Popiel, czy nie mógłby pan wyrobić nam zaproszenia do Szwajcarii?

– Nie ma takiej potrzeby – powiedział doktor.

- Chciał pan powiedzieć, że nie ma z tym problemu?
– spróbował poprawić go Grześ.
- Nie, chciałem powiedzieć, że lepiej pojechać do Ameryki; mogę wam wyrobić zaproszenia.
- Panie Popiel, oto drugi tomik moich poezji. Z autografem – Jurek aż się uklonił.
- O, serdecznie dziękuję, „Ucieczka do Egiptu”? Ładny tytuł, gdzieś już go słyszałem. A pański zbiorek już mam – odwrócił się do Grześka.
- To bardzo mnie cieszy, bo żaden mój zbiorek jeszcze się nie ukazał.
- Czyżby to był nie pański tomik?
- Zapewne nie.
- W takim razie myślę, że będę miał pański zbiorek.
- Podaruję panu swój rękopis, mam go ze sobą, proszę.
- Z wielką przyjemnością przeczytam. Muszę się panu odwdziżyć. Proszę, oto dziesięć dolarów. Nie za mało?
- Myślę, że nie.
- Panie Popiel, nie interesuje pana rozmieszczenie wojskowych fabryk w naszym województwie? – spytał Jurek.
- Wie pan, nie. A pan ma coś wspólnego z produkcją wojskową?
- Nie, nic.
- Tak mi się też zdaje. Nie interesuję się tym. Jadę po prostu do Czortopola na Święto Ducha Zmartwychwstałego. Mówią, że ma się zdarzyć coś niezwykłego. Huculi w strojach ludowych, muzyka, tańce.
- Jak się panu żyje w Szwajcarii? – przerwał mu Grześ.
- No cóż, niełatwo jest tak od razu odpowiedzieć na to pytanie.
- A znał pan Hermanna Hessego? – rzucił Jurek.
- Poznałem go pod koniec jego życia. Spotykaliśmy się na koncertach muzyki barokowej. Hermann uwielbiał europejską klasykę, może nawet bardziej niż jazz czy Beethovena. Prawdę mówiąc twierdził, że prawdziwa muzyka kończy się na Beethovenie...
- A Freuda pan znał?
- Freuda? Osobiście go nie znałem, ale przed wojną słuchałem jego wykładów w Salzburgu.

- To musi pan być już stary – odkrył Grześ.
- Zawsze wyglądałem na młodszego niż jestem.
- A Junga znał pan?
- Słuchajcie, nie mogę przecież wszystkich znać. Znałem kilku uczniów Junga, niektórzy pracowali w mojej klinice...
- Fantastycznie! A Joyce’a pan znał?
- Czytałem. W młodości zrobił na mnie ogromne wrażenie.
- Czytał pan go po angielsku?
- Po francusku, potem po raz drugi po niemiecku.
- A czy w Szwajcarii znany jest taki poeta jak Antonycz?
- Małkowycz?
- Nie, Antonycz, Bohdan Ihor Antonycz, taki poeta.
- Pierwszy raz słyszę, ale na pewno spróbuję zdobyć jego poezje. To wasz kolega?
- Tak, ma 27 lat.
- O, to jeszcze bardzo młody, zapewne dlatego nie znam.
- Grzesiu, czemu milczysz, śpisz?
- Ale Grześ nie spał. Właśnie zabrał się za otwieranie puszek piwa, którą znalazł z tyłu.
- Przepraszam, że zapomniałem panom zaproponować – powiedział doktor, wyciągając jeszcze jedną puszkę i podając ją Jurkowi. – Bawarskie. A może panowie by coś zjedli? Mam kanapki z szynką i ementalerem, chipsy, snacki, ketchup, salami, sok pomarańczowy. Proszę się częstować, leżą w papierowych torebkach koło pana, na tylnym siedzeniu.
- Bardzo smaczne. I wszystko to pan przytargał ze Szwajcarii? – zainteresował się Grześ po chwili, gdy przeżuwał i połykał kawałek delikatesowej rumianej szynki.
- Ależ skąd! To rodzina we Lwowie zaopatrzyła mnie tak na drogę. Podobno w Czortopolu nie ma nic.
- Ma pan wspaniałą rodzinę – podsumował Niecnota. – A w Czortopolu zatrzyma się pan w hotelu?
- W Czortopolu też mam rodzinę. Myślę, że będę u nich mieszkał. Co prawda, zdaje się, że wszyscy już poumierali.
- Aha. Niech pan zwróci uwagę na tę malowniczą skałę zwisającą nad szosą – wskazał Grześ.
- Pisana Skała – doktor podał prawidłową nazwę.

– Właśnie! To pan zna tę okolicę? – Jurek podniósł brwi.

– Tu się urodziłem...

– Aha! To na pewno wie pan, gdzie jest rynek w Czortopolu?

– Jakże mam nie wiedzieć! Tam przecież upłynęło moje dzieciństwo. Mój ojciec miał w rynku aptekę. Często bawiłem się na zapleczu, gdzie pełno było paczek z lekami, stały kolby z różnokolorowymi płynami, stara waga aptekarska, muszle, zasuszone rzadkie rośliny zebrane latem w górach, astrolabia, salamandry i żmije w formalinie, srebrne sygnety, książki po łacinie, termometry... Właziłem na samo dno tego tajemniczego świata, w którym było tak cicho i spokojnie, nasłuchiwałem dzwonka przy drzwiach wejściowych, wchodził klient, słyszałem przez drzwi jak tato z nim rozmawia, to byli przeważnie prości Huculi, którzy nie znali się na farmacji, słyszałem, jak zegar na ratuszu wybija kolejny kwadrans i marzyłem, by przeżyć tam całe życie, w tych pokojach zastawionych wagami, świecznikami, grzałkami, irygatorami, strzykawkami...

– Prezerwatywami – wtrącił się nagle Niecnota.

– Nie przypominam sobie, czy prezerwatywami również – wzruszył ramionami doktor Popiel. – Myślę, że Huculi ich nie używali. Macie kłopoty z prezerwatywami?

– Ponieważ wybieramy się na Święto Ducha Zmartwychwstałego, to mamy – odpowiedział szczerze Chromolski.

– Wie pan, będzie tam mnóstwo nieznanym dziewcząt i...

– W takim razie proszę sobie wziąć – z tejże magicznej kieszeni wynurzyły się dwie nieźle gumy. – To żaden problem...

– Co byśmy bez pana zrobili, panie Popiel – uprzejmie wyszczerzył zęby Niecnota. – Ale wróćmy do rynku. Czy mógłby pan nas tam podwieźć? Mamy tam spotkać się o ósmej z przyjaciółmi...

– Bardzo chętnie, chłopcy.

– Zapraszamy pana na jutrzejszy wieczór poezji, będziemy czytać nasze wiersze – dodał Grześ, jednocześnie wypychając kieszenie kanapkami i chipsami z papierowych torebek.

– Z przyjemnością posłucham. Dziękuję za zaproszenie, bardzo mi miło.

Minęli akwedukt i przydrożny bar „Pod Jodłami”, chrysler gładko, jak na swoje lata, wziął ostatni zakręt przed Czortopolem, a po kilku minutach na zboczu z prawej strony ujrzeli gotycką rezydencję Lanckorońskiego.

– Nie wiem, jak dziś, ale za moich czasów tam za Lanckorońskimi były wspaniałe jeżyny. Jako mały chłopiec chodziłem tam na jeżyny. Tam po raz pierwszy byłem z panną...

– I posunął pan ją? – zainteresował się Jurek.

– Proszę?

– Pyta się, czy doszło do zbliżenia – wyjaśnił Grześ.

– To również chcecie wiedzieć?! Miała zajęcze przednie zęby...

– I to panu przeszkodziło? – ze zrozumieniem spytał Jurek.

– Nie, ale szczerze mówiąc, nie kochałem jej.

– A jaki jest pański stosunek do kobiet? – Grześ przejawiał głębokie zainteresowanie.

– Wolę z nimi mieć, jak się to mówi, czysto służbowe kontakty. Zbyt wiele znaczą w tym życiu. O, już Czortopole! Nie możecie sobie nawet wyobrazić, czym jest dla mnie to miasteczko. Te stare wille porośnięte dzikim winem, te wieże o maleńkich oknach, te góry wokół, ten kościół dominikanów. Zaraz, zaraz, jeżeli się nie mylę, to prosto tą ulicą, potem trzeba skręcić w prawo – i już mamy rynek. Aha, nie, przepraszam, drugi zakręt na prawo, pierwszy prowadzi do cerkwi Zmartwychwstania...

– Panie Popiel, ma pan wspaniałą pamięć! – pochwalił Grześ.

– Ile ma pan lat? – prosto z mostu spytał Jurek.

– Nie jestem ani stary, ani młody, chłopcy. Jestem wieczny. Jak i wy. A oto i rynek. Tamci nie na was czekają? Myślę, że jeszcze się zobaczymy, dziękuję za towarzystwo, było mi bardzo miło, wesołych świąt.

– Wesołych świąt, stary durniu – powiedział Niecnota, kiedy ogromny chrysler ruszył i po tych słowach rozejrzał się wokół.

Na rynku czyniono ostatnie przygotowania do święta, wnoszono stoły, rozstawiano namioty, montowano pode-
sty, ozdabiano je wstążkami, girlandami i lampionami. Wie-
logłowe mrowie już napływało ze świeczkami, maskami,
chorągiewkami.

– Tam stoją, już czekają – Grzesiek wskazał w kierunku
sterczącego pośrodku rynku pomnika pierwszych komso-
molców. – Słuchaj, Martoflak znowu przytarabanił się z żo-
ną... Gaja jak zwykle trudno poznać. A co to za świński
blondyn z nimi?

Bielinkiewicz, bo tak właśnie nazywał się ów świński
blondyn, instruktor miejskiego komitetu komsomołu, czło-
nek Komitetu Organizacyjnego święta, który wyszedł
na dworzec po Gajskiego, chłopak w urzędowym radziec-
kim garniturze, pod krawatem, zaproponował wszystkim,
by od razu zameldowali się w hotelu „Magura”, gdzie
uczestnicy święta, zgodnie z jego słowami, mieli zarezer-
wowane miejsca, ale towarzystwo nawet słyszeć o tym nie
chciało, ponieważ w szalonej głowie Niecnoty zrodziła się
myśl o piwie.

– Nie możemy tak po prostu pójść do hotelu, póki nie
skosztujemy tutejszego piwa – oświadczył Jurek. – To ozna-
czałoby hańbę, okrycie się niesławą, byłoby sromotną kłę-
ską, ucieczką, zdradą samego siebie, narobieniem w portki.
Poza tym mamy również moralny obowiązek wobec sa-
mych siebie!

Pozostali, z wyjątkiem Marty, gorąco poparli Jurka. Mar-
ta nadęła się, ale ponieważ jej drogocenny Martoflak ener-
gicznie wyraził swój entuzjazm co do propozycji Niecnoty,
zmuszona była z tym się pogodzić i ruszyła w ślad za kum-
plami do gościnnie otwierającej swe podwoje knajpy
„Pod Śledzikiem”. Knajpa była nieopodal, w rynku, w jed-
nej ze starych piwnic kupieckich.

Zeszli na sam dół krętymi i śliskimi schodami, przedarli
się przez przesiąkniętą dymem gęstwinę pijaków, było ich
więcej niż zwykle o tej porze, a żaden z nich nie pominął
okazji obmacania Marty lepkiem, wilgotnym spojrzeniem.
Kumple znaleźli jednak wolny, zalany pianą stolik, Bielin-
kiewicz zaś zniknął gdzieś w labiryntach kuchni, ale

po chwili wrócił aż z dwoma kelnerami, którzy przynieśli do ich stolika piwo i słone paluszki.

Piwo rzeczywiście okazało się smaczne; Niecnota opowiedział o początkach miejscowego browaru, które sięgały jeszcze austriackich czasów, kiedy to znany browarnik założył filię w Czortopolu, licząc na wyjątkowo sprzyjający skład chemiczny wody w Rzecze, przy czym jego wyliczenie okazało się na tyle trafne, że niebawem czortopolskie piwo dostarczano już na dwór jego cesarsko-królewskiej mości w Wiedniu.

– To bardzo pouczająca historia, drogi Niecnoto – docenił Gajski. – Ale wolałbym nieco więcej dowiedzieć się o tej imprezie, która tu wkrótce się odbędzie. Co pan może nam o tym powiedzieć, młody aniele?

Bielinkiewicz aż się zarumienił, ale ponieważ rozumiał, że ma do czynienia z bohemą, zmobilizował się i wyjaśnił:

– Święto Zmartwychwstającego Duchu... cha. Ducha.

– Wspaniale, chłopcze! Usłyszeliśmy właśnie to, o czym i bez ciebie wiedzieliśmy. Jestem niezwykle zadowolony z tej odpowiedzi.

Wszyscy roześmieli się, a właściwie zabalgotali, ale w tym momencie błysnęła Bielinkiewiczowi zbawcza myśl, zaczął więc czegoś szukać po wszystkich kieszeniach, w końcu wy dostał z podręcznej torebki, popularnie zwanej „pederastką”, złożony we czworo program, wydrukowany techniką offsetową na przepięknym papierze aż z Finlandii.

– Tu jest wszystko napisane – bąknął.

– A gdzie Stadnicki, co robi i dlaczego nie wyszedł nam na spotkanie? – zainteresował się Gajski, który zawsze miał duże wymagania.

– Pan Stadnicki ze względu na to, że jest głównym reżyserem święta, jest bardzo zajęty – z pełną gotowością odpowiedział Bielinkiewicz. – Przeprowadza właśnie ostatnie próby i przygotowania. Dlatego wszelkie sprawy związane z waszym udziałem w święcie powierzył mnie. Zgodnie z planem mamy teraz czas wolny. Święto zacznie się właśnie tutaj, na rynku, za jakieś cztery godziny, między dwunastą a pierwszą w nocy.

– Posłuchajcie, to interesujące – głębokim aktorskim basem wtrącił się Martoflak, który przedtem w milczeniu przeglądał program święta, teraz zaś zaczął czytać na głos:

Szanowni zgromadzeni, Rodacy, mili Państwo!

I my doczekaliśmy się tego dnia, kiedy ciemne siły zła i reakcji, zwalczane przez Wielkiego Ducha Kozaczyzny, zadrgały i wpadły w przerażenie! Mamy niepowtarzalną okazję pokazania samym sobie i całemu cywilizowanemu światu, że jesteśmy nieodrodnymi synami naszych sławetnych przodków. To święto jest potrzebą dnia dzisiejszego, ono zjednoczy nas w jednym wielkim porywie tworzenia nowych wartości, w porywie tworzenia i budowania.

Czortopole, prastare i wieczne, jak cała nasza martyrologiczna historia, zaprasza do wspólnej zabawy. Duch musi zmartwychwstać.

Prawdziwym celem naszego święta jest przewyciężenie śmierci. Rozumieli to doskonale nasi przodkowie – sławetni kozacy zaporoscy, żacy, duchowieństwo i mieszczaństwo, gdyż rokrocznie w końcu maja – tego bajecznego na naszej ziemi miesiąca Rozbudzonej Natury i rajskiego rozkwitu zieleni – urządzali rekreacje – ludowy karnawał ze śpiewami, tańcami, recytowaniem wierszy i przedstawieniami teatralnymi. Nasze wyzwolone dusze świętowały swe odrodzenie, Swobodny Śmiech i Wolną Poezję wznosiły się nad grzeszną ziemią, precz odchodziła wstrętna Kostucha, poganiana uderzeniami Ludzkiej Nieśmiertelności.

W dniach 27–28 maja w Czortopolu odbędą się po raz pierwszy od dwustu z górą lat rekreacje, dziś nareszcie przywrócone naszemu narodowi. Nazwaliśmy je ogólnie Świętem Ducha Zmartwychwstałego. To święto będzie pierwszym krokiem do odrodzenia naszych pięknych prastarych tradycji. Zapraszamy wszystkich do Czortopola!

W programie Święta m.in.:

1. Naukowo-teoretyczna konferencja „Niech się Święto święci” (referaty i wystąpienia wybitnych filozofów, eko-

nomistów, ekumenistów, para- i psychologów, historiozofów, astrologów, politologów, deputowanych ludowych, hipnotyzerów, demiurgów i in.) – 27.05., aula miejskiego komitetu Komunistycznej Partii Ukrainy, godz. 16.00.

2. Uroczysta msza i ponowne poświęcenie cerkwi Zmartwychwstania, zabytku architektury drewnianej z XVIII wieku – 27.05., cerkiew Zmartwychwstania w Czortopolu, godz. 19.00.
3. Koncert kapeli ludowej „Złota drumla” czortopolskiego powiatowego Domu Kultury – 27.05., kino „Rosja”, godz. 20.00.
4. Konkurs tańca towarzyskiego – 27.05., godz. 20.00.
5. Prezentacja filmu fabularnego „Emmanuelle 4” (prod. francuska) – 27.05., kino Rosja, godz. 20.00.
6. Od godz. 0.00, 28.05. – początek karnawałowego festynu na Rynku w Czortopolu: pochodź przebiezańców, błazenada, zawody połykaczy ognia, konkurs dowcipów, oratorium „Duch będzie nam hetmanił”, wybory Królowej Święta „Superpanna”, przeciąganie lin i kołder, etiudy akrobatyczne, rozrywki apokryficzne, teatralne przedstawienie – misterium „Tak nas powrócisz na ojczyzny łono”, tańce, hulanki, swawola.
7. Święteczny festyn na Rynku i pod cerkwią Zmartwychwstania – 28. 05., godz. 10.00.
8. Droga krzyżowa do Pisanej Skały z wejściem na szczyt – 28.05., kolumny formują się u wlotu ul. Dzierżyńskiego o godz. 13.00.
9. Festiwal rockowy „Prezentacja trupa” (z udziałem grup „Doktor Tagabat”, „Fatalne jaja”, „Lewiatan”, „Orgazm”, „Kukułeczka kuka” i in.) – 28.05. u podnóża Pisanej Skały, godz. 15.00.
10. Wieczór poezji „Plwajmy na te skorupę i zstąpmy do głębi” – stadion w Czortopolu 28.05., godz. 20.00.
11. Końcowe akordy Święta – wielotysięczny mityng – akcja protestu, rytualna uczta nad brzegami Rzeczki, obmywanie ciał, wielkie ognie.

W programie przewidziano liczne niespodzianki.

*Droży państwo! Zmartwychwstanie naszego Ducha,
z nim także nasze ostateczne wyzwolenie może się ziścić!*

*Możemy zwyciężyć, więc zwyciężymy!
Radujcie się, a będziecie radzi!
Weselcie się, by się rozweselić!
Niech żyje Ukraina!*

*Komitet Organizacyjny
Główny reżyser Świąta – Stanisław Stadnicki
Odpowiedzialny za stronę artystyczną –
Kaufman-i-Koch*.*

Komitet Organizacyjny wyraża swą głęboką wdzięczność i oddanie sponsorom świąta: spółdzielni „Metalika” (Czortopole), spółce joint-venture „Intersex” i osobiście panu Frankowi Popielowi (Szwajcaria).

– I co wy na to, przyjaciele? – Martoflak obrzucił wszystkich pytającym spojrzeniem.

Przyjaciele, którzy moczyli wąsy w drugim kuflu piwa, powiedzieli coś takiego:

– Nieźle!

– Nuda!

– Wariatkowo!

– Ten wasz Stadnicki, zdaje się, całkiem już zwariował – podsumowała Marta Martoflakowa.

Ale wszystko to nie znaczyło nic innego, jak ogólną radosną aprobatę. Martoflak był usatysfakcjonowany efektem, który wywołała głośna lektura zaproszenia.

– My z Grześkiem możemy jeszcze coś dodać. Ten pan Popiel ze Szwajcarii, którego wymieniono jako sponsora, to nasz dobry znajomy. Po drodze tutaj sprezentował nam po gumie, a poza tym obiecał nas zaprosić do Ameryki – poinformował Niecnota.

– Naprawdę? – zainteresowała się Marta.

– Nie denerwuj się, Marteczko, twego męża zabierzemy oczywiście ze sobą. A propos, ślicznie dzisiaj wyglądasz – Niecnota liznął jej rękę.

* Nazwiska dwóch młodych lwowskich artystów plastyków.

Marcie było miło, ale nie dała tego po sobie poznać.

– Mój mąż ma już zaproszenie do Ameryki.

– Stary, przywieź mi sztucznego członka – kuł żelazo póki gorące Gajski – pamiętasz, miałem coś takiego, można go było napełniać wodą, ale jakaś paskuda ukradła mi go, pewnie w akademiku.

– Na pewno jakaś dziewczyna – domyślił się Martoflak.

– A własnego masz jeszcze przy sobie? – prawie jednocześnie zainteresowali się Grześ i Niecnota.

– Co do tego możecie łatwo się przekonać, chłopaki – tonem pełnym wyższości odparł Gajski. – Śpimy dzisiaj razem, nic prostszego.

– Obawiam się, że nie uda nam się dziś położyć, bo program jest bardzo przeładowany – Martoflak odwrócił uwagę od nieprzyjemnego dla Marty tematu.

– To po kiego tu siedzimy, skoro z takim trudem zdobyliśmy prezerwatywy? – zakipiał Grześ.

– A kto cię zmusza cały czas szlajać się po tym święcie? – zapytał Gajski. – Znajdziesz sobie pierwszą lepszą supermiszkę – i do przodu. Każdy z nas ma wolny wybór. Zniewoleni ludzie nie stworzą wolnego karnawału. Chcesz być wolny – bądź!

– Zgadzam się całkowicie z Gajem – rozsądził ich Martoflak. W tej samej chwili napotkał jednak spojrzenie Marty.

– W jakim sensie? – zainteresowała się.

– A w takim, że jak zechcę się uwalić, to się uwalę i ch..!

– Nie obrażaj żony, stary, wygląda dziś po prostu cudownie – zlitował się nad Martą Gajski i pocałował ją w policzek.

Tymczasem Bielinkiewicz, który wiedział, że polecono mu towarzyszyć wybitnym współczesnym poetom, wiedział również, że im towarzyszy, nie wiedział natomiast, jak reagować na tę, co tu kryć, zwykłą paplaninę, czuł się więc nijako. Usiłował, co prawda, uśmiechać się i potakiwał ze zrozumieniem głową, która zaczynała go pobolevać – może od wspaniałego czortopolskiego piwa, do którego młody komsomolski działacz nie był przyzwyczajony, a może od nadmiaru dymu papierosowego, co aż gryził w oczy. Bielinkiewicz skorzystał z chwilowej przerwy

w przyjacielskiej pogawędce i postanowił wyjaśnić pewną kwestię, która najwyraźniej męczyła go od jakiegoś czasu:

– Czy moglibyście mi powiedzieć, nad czym pracuje ostatnio poeta Bohdan Niepijpiwo?

– Wiesz, stary, wydaje mi się, że umarł jakieś trzydzieści lat temu – uprzejmie wyjaśnił mu Niecnota. – Ale całkiem możliwe, że pracuje teraz nad czymś, choć nic o tym nie słyhać.

– Jak to umarł?! – szczerze przeraził się Bielinkiewicz. – Przecież jeszcze w zeszłym roku występował tu! Słuchałem jego wykładu w domu kultury...

– To, co mówisz, Janku, rzeczywiście mogło mieć miejsce – w pewnym sensie poeta Bohdan Niepijpiwo jest on wiecznie żywy i wszechobecny jak Kriszna – tolerancyjnie odpowiedział Jurek.

Jednak Bielinkiewicz nie czuł się usatysfakcjonowany taką odpowiedzią, kontynuował więc dyskusję literacką:

– Potem jadł jeszcze kolację w restauracji „Rynkowej”, zaraz obok baru piwnego... Zamówił sznycel po huculsku... I zjadł go.

– O ile cię dobrze zrozumiałem, chciałeś powiedzieć, że to nie był duch, lecz zwykły człowiek z krwi i kości? – skonkretyzował Niecnota.

– No właśnie.

– A może go pomyliłeś z jakimś innym wielkim pisarzem?

– Ależ jak mógłbym pomylić, skoro osobiście zamawiałem dla niego miejsce w hotelu!...

– Pewnie to jakiś inny Niepijpiwo, też poeta – wyraził przypuszczenie Grześ.

– Jasne! – ucieszył się Bielinkiewicz. – Pewnie tak!

I od razu zadał inne ważne dla siebie pytanie:

– A czy to prawda, że poetę Nieboraka przejechał w Kijowie samochód, czarna wołga, i teraz leży na reanimacji?

Marta szepnęła coś na ucho swemu mężowi.

– To idź sama – odpowiedział ten na głos.

– Jeszcze czego! – oburzyła się Marta. – A te pijackie mordy?

– Nie zjedzą cię – pochmurnie wydusił z siebie Martoflak.

- Marto, może chociaż w tym zastąpię ci męża – przytomnie odezwał się Gajski i podał jej rękę.
- Prosię – rzuciła ponad głowami Marta w kierunku niewzruszonego Martoflaka i poszła za Gajskim.
- Rozpłynęli się w dymie papierosowym i gęstym gwarze piwiarni już po dwóch krokach.
- To nieprawda, że Nieboraka przejechał samochód – kontynuował seans odpowiedzi Niecnota. – Nie dalej, jak wczoraj piliśmy z nim kawę w „Eneaszu”.
- Znacie osobiście poetę Nieboraka? – aż rozjaśnił się Bielinkiewicz.
- Kilka razy odtransportowałem go pijanego taksówką do domu, to cała nasza znajomość – ziewnął Niecnota.
- A może znacie także pisarza Nowotnego? Nad czym teraz pracuje?
- Pracuje nad nowym utworem – odpowiedział Niecnota.
- Jakie to interesujące! A czy poetka ludowa Stujhalina wróciła już z Kanady? Była tam w delegacji z towarzystwa „Ukraina”.
- Słuchaj no, mały, tyle wiesz o wszystkim, że mimo woli rodzi się myśl... – mrużąc oczy, zaczął Grześ.
- Że już byłaby pora zabić? – wybuchnął beztróskim śmiechem Bielinkiewicz i zadał następne pytanie: – A mieliście okazję widzieć publicystę Iwana Czerwoniuka? Jak się miewa?
- Nieźle – odrzekł Niecnota.
- A czy prędko ukaże się ostatni tom trylogii Semena Kołtuna?
- Nieprędko – odpowiedział Niecnota.
- A dlaczego?
- Brak papieru – odpowiedział Niecnota.
- A ja tak czekam na ten trzeci tom trylogii...
- Wszyscy czekamy.
- A byliście na pogrzebie poety K. Giebenki?
- Nie byłem.
- A jaki był pogrzeb?
- W porządku.
- A to prawda, że przemawiał tam sam Komuszko?

O Boże, ale mordy, dobrze, że chociaż Gaj idzie ze mną, bo rzuciliby się po prostu na mnie z tymi swoimi łapskami, nieogoleni, śmierzdzący dymem, same lombrosowskie typy, pchają się jak tamci, klną, krzyczą, to nie piwiarnia, to piekło, koniec świata, no gdzie u diabła ten kibel, gdzie oni go zabunkrowali, a ja też głupia jestem, nie mogę pić tyle piwa, Gaj opowiada o czymś, dziś jest taki interesujący, elegancki, no i mamy święto, siedzimy w tej cuchnącej spelunie i wszystko na świecie tak przebalujemy, nie warto było jechać, no jasne, wiedziałam, czego się więcej spodziewać, koszmar, dawno czegoś takiego nie widziałam, Boże, co tu powypisywane na ścianach, żeby chociaż Gaj poczekał za drzwiami, ale na pewno nigdzie nie pójdzie, na dodatek drzwi się od środka nie zamykają, żeby się tylko o coś nie wypaść, na szczęście tym razem zamek mi się nie zaciął, a Martoflak pewnie już popłynął, nie wolno mu pić nawet piwa, tyle alkoholu we krwi, chce się pokazać kolegom: „idź sama”, a sam na sam powie: „żyć bez ciebie nie mogę, moje słoneczko”, wreszcie mi ulżyło, o mało co nie pękłam, no nie, nawet tryzuba jakaś cholera wydrapała na ścianie, odradzamy symbole, wskrzeszamy Ducha, aha, figa z makiem, nie może się nie zaciąć, no i męcz się teraz w tej dziurze z zamkiem, no, nareszcie, ciepłej wody oczywiście nie ma, za to – dziwna sprawa – kawałek mydła skądś wzięli, pierwsza klasa! Ale w Czortopolu, czarci by go porwali, poczerwieniałam jak burak, koszmar, więcej nie piję, a gdzież mój kawaler, już jestem Gaj, „w porządku”, jak to szlachetnie z twojej strony – „na moim miejscu każdy by to zrobił”, znowu te goryle, trzymaj się, Gaj, zaraz wszyscy tu będą, udało się, idziemy dalej, gdzie u diabła ten stolik, nic nie widać, o, potylicy Martoflaka, siedzi z głową w kuflu, pijak, nieszczęście, ojciec moich dzieci...

– A to prawda, że przemawiał tam sam Komuszko?

– Jeszcze nie skończył z tymi pytaniami, aniołku? – zburzył mu jasnowłosą czuprynę Gaj, który właśnie się dosiadł. – Przestań, bo powiem Stadnickiemu, żeby cię wyrzucił z Komitetu Organizacyjnego.

– Dlaczego? – zamrugał Bielinkiewicz.

– Nie dlatego, a za co.

– Za co?

– Za pijaństwo i rozpustę.

Bielinkiewicz roześmiał się z ulgą, pewnie rzeczywiście się wystraszył, że mogą go wyrzucić.

– Słuchaj, mówiłeś coś o restauracji w pobliżu? – nie spuszczał z tonu Martoflak.

– Tak, restauracja „Rynkowa” jest tuż obok...

– I moglibyśmy zjeść tam kolację?

– Tak, ale dobrze byłoby zameldować się w hotelu... odpowiadam za was.

– Nie truj! Musimy zjeść kolację. A potem do hotelu.

Towarzystwo gorąco poparło Martoflaka, autentycznego lidera swego pokolenia, tylko Marta drgnęła niespokojnie, ale zrozumiała, że nie ma wyjścia.

– No to idziemy – zgodził się Bielinkiewicz, wsunął przemykającemu kelnerowi dychę do kieszeni i poprowadził wszystkich, ale w kierunku przeciwnym niż się spodziewali.

– To dokąd my idziemy? – wyraził wątpliwość Martoflak.

– Tu jest przejście służbowe. Prosto z piwiarni do restauracji przez podziemia. Bodzio, otwórz tylne wejście! – zawołał w stronę barku.

– Tylne wejście – powtórzył Martoflak. – Niezła nazwa dla tomiku, nie?

Masywne drzwi służbowego wejścia usłużnie otworzono i przyjaciele zniknęli w podziemnym przejściu, oświetlonym mdłym światłem z rzadka rozsianych żarówek.

Okazuje się, że pod każdym miastem jest jeszcze jedno miasto z własnymi ulicami i placami, z własnymi zwyczajami i tajemnicami, zresztą już dawno domyślałem się tego, ale nie miałem okazji się przekonać, co prawda, nie szukałem takiej okazji, bo po co przekonywać się o czymś, o czym jesteś i tak przekonany, więc idziemy teraz przez średniowiecze, piętro niżej mamy czasy pogańskie, potem mamuty, potem chyba mezozoik, i tak dalej, niekończące się schodzenie w dół, niby moja powieść wierszem, wchodzę coraz głębiej, ale dno ucieka, więc nigdy nie skończę tej

powieści, ale czort z nim, najważniejsze, że przyjechaliśmy na święto, okropnie się cieszę że was widzę, wspaniałe chłopaki, bracia moi, ciebie, Gajski, co umiesz zrobić poezję nawet z gówna, i ciebie, Grzesiu, urodzony w Karagandzie, masz na czole kosmyk włosów niczym wieczną żałobę, i ciebie, Jurku Niecnoto, umierasz co dzień w tym zwariowanym świecie, a wszyscy myślą, że tylko udajesz Greka, wy wspaniali, wielcy, oddam całe złoto na ziemi za jeden jedyny wers każdego z was, za to szczęście – łażenie z wami prawie na oślep przez wilgotne średniowiecze z jednej knajpy do drugiej w towarzystwie tego grzecznego młodzieńca, zapomniałem, jak się nazywa, ale dobrze wychowany, szczeniak, więc idziemy, by wypłynąć w światło, idziemy na muzykę niczym na zapach wódki i wypijemy sobie za to, że istniejemy, chłopcy, cześć wam za to, że jesteście, niech żyją nam!

Drzwi bocznego wejścia okazały się dwustronne i oto już całe towarzystwo znalazło się w samym sercu, w sanktuarium restauracji, w fantastycznej kuchni z jej niesamowitym skwierczeniem i bulgotaniem, z rozpalonymi patelniami i śpiewającymi rybami, ze straszliwymi jękami nożyc do drobiu, z plantacjami sałat, olei, różowych i brunatnych mięsów, ze sznyclami uformowanymi w zgotowane na stracenie pułki, surowymi, na w pół surowymi i prawie gotowymi; wydawało się, że cały nasz kraj przez okrągły rok harował zapamiętałe tylko po to, by dziś tu obrodziło, w czortopolskiej restauracji „Rynkowej”, z górami resztek i wiadrami pomyj, z brudnymi talerzami i zaślinionymi kieliszkami, z niezliczonymi kelnerami, kucharzami i wszelkimi innymi typami, których tu o tej porze do licha i ciut-ciut, a Bielinkiewicz idzie pierwszy, jak do siebie do domu, wszyscy czują się tu pewnie i bezpiecznie, wystarczy tylko rzucić kilka słów orangutanowi w czarnym garniturze i już prowadzą was do stolika, to nieprawdopodobne, złapać wolny stół na Sześć Osób o tej porze, ale to fakt, Bielinkiewicz dobrze zna się na rzeczy, zdążył nawet oddać wasz bagaż do szatni, więc

siadacie – lekcy i odprężeni – do stołu, by, jak się wyraził Martoflak, zjeść kolację.

Na kolację zamówiliście wódkę i koniak o niezwyklej nazwie „Biały bocian”, dla Marty węgierskie wino wytrawne itp. Dyżurny Bodzio – wszyscy kelnerzy w Czortopolu z jakiegoś powodu reagowali na to imię – z wyrazem twarzy lekko zawstydzonego sfinksa zanotował sobie prócz tego długaśną listę żarcia, którego się wam zapragnęło. Teraz można spokojnie rozejrzeć się wokół po konsumentach i zapalić (Jurek, nie bądź żyła) gauloise’a.

Konsumenci przeważnie znajdowali się w stanie rosnącej euforii. Był to w ogóle niezły zwierzyniec. W takich chwilach zawiązuje się przyjaźń i rodzi miłość, co łatwo można było odczytać na poczerwieniałych gębach. Namiętne dialogi, nerwowe pocałunki, wybieganie tam i z powrotem, mylenie miejsc, dojadanie sznycli z cudzych talerzy – wszystko to, jak również gaszenie niedopałków w sałatkach, pozwalało wysnuć wniosek, że święto, które miało się zacząć za dwie godziny, będzie sukcesem. Babeczki osiągnęły już takie stadium w swym zachowaniu, że nie dało się odróżnić rasowej kurwy od porządnej pani domu, a faceci tworzyli zbiorowy obraz pełnego zapału biznesmena o wielu twarzach, a może po prostu jakiegoś fenomenalnego skurwysyna.

– Przyjaciele! – z lekkim wzruszeniem w głosie przemówił Martoflak. – Zanim przyniosą nam tego pieczonego zająca, proszę, by każdy z was przeczytał swój ostatni wiersz. Napisaliście chyba coś ostatnio?

– Napisałem prawdziwy majowy wiersz, myślę, że będzie nie od rzeczy – oznajmił Gajski. – Ale najpierw wypijmy, bo czuję, że mnie suszy.

Przyjąwszy z aplauzem propozycję, wszyscy nadstawili uszu. I usłyszeli co następuje:

*Kwitnienie drzew to najwspanialsza pora
Największy wysiłek piękna i dobra.
Czujnie wstępuję w zieloną krainę,
Gdzie sokiem deszczy pachnie ciepła kora.*

– Niezłe – przerwał mu Martoflak. – Ale to nie twoje, to Andruchowycza.

– À propos, Andruchowycz przyjechał? – wszedł mu w słowo Niecnota.

– Zdaje się, że nie – wyjaśnił Martoflak. – Słyszałem, że ostatnio pisze prozę.

– To niezmiernie interesujące! – przypomniał o sobie Bielinkiewicz.

– Przyjacielu, bądź tak miły i zechciej zapamiętać jedną bardzo istotną rzecz – zwrócił się do niego Gajski. – Tu siedzą ludzie, którzy nie widzieli się prawie trzy miesiące. Chcieliby teraz spokojnie pobyć ze sobą. Dlatego nie powinieneś wtrącać się w ich rozmowy, lecz zachowywać się tak, jakby ciebie tu nie było.

– Przepraszam – wymamrotał Bielinkiewicz.

– Dobrze, już dobrze. Bo skoro już zrobiłem swoje i skoro czytamy po kolei – to teraz ty, Martoflaku. Ale najpierw wypijmy – zarządził Gajski.

Marta próbowała protestować przeciwko tak szalonemu tempu, ale na nic się to nie zdało, do tego zjawił się kelner z ogromną tacą z wszelakimi wielce pożywnymi potrawami. Spowodowało to dodatkową kolejkę. O wierszach na jakiś czas zapomniano, ponieważ Niecnota odczuł gwałtowną potrzebę wzniesienia toastu.

– Kochani! – zaczął całkiem szczerze – Muszę wyznać, że na tym świecie niewiele jest rzeczy, które są czegoś warte. Wszyscy jesteśmy bardzo samotni i wszyscy doskonale o tym wiemy. To, że tak powiem, coś tak oczywistego, że można o tym nawet nie mówić. W każdym razie jestem przekonany, że wszyscy doskonale to rozumiecie. Nie ma chyba człowieka, który by tego nie rozumiał lub też udawał, że nie rozumie. Nawet jeżeli znajdzie się ktoś taki wśród nas, to i tak mu nie uwierzę, że nie rozumie. To, że tak powiem, prawda oczywista, dlatego wszyscy rozumiemy to doskonale. Jeżeli osobiście mam mówić o sobie, to z jakiegoś powodu jestem zupełnie pewien, że w tym temacie wszyscy jesteśmy jednego zdania, w przeciwnym wypadku miałbym po prostu wątpliwości, czy na tym świecie w ogóle istnieje coś takiego, co możemy zrozumieć.

Wtedy pozostałoby stwierdzić, że nic z tego świata nie rozumiemy. To, że tak powiem, byłoby bardzo smutne. Dlatego też mamy wszelkie podstawy, by sądzić, że mimo wszystko coś z tego rozumiemy, pragniemy zrozumieć w każdym razie. A pragniemy zrozumieć znowu nie tak wiele. Jednak jest to dla nas bardzo ważne, bo bez tego nie jesteśmy sobą, a zwykłymi pozbawionymi rozumu stworzeniami, które niczego nie rozumieją i nie chcą rozumieć. Wspomniałem już chyba o tym, że na tym świecie niewiele jest rzeczy, które są coś warte, wypijmy więc za to!

– Gorbaczowa parodiuje czy co? – wyraził swe szczere zainteresowanie Bielinkiewicz.

– No nie, powiedzcie mi, co to za gaduła tu siedzi? – nieco ostrzej niż poprzednio spytał Grześ.

– Słuchaj, stary, zdaje się, żeśmy się umawiali – przypomniał Bielinkiewiczowi Gajski.

– Raz jeszcze przepraszam, ale to takie interesujące towarzystwo, że nie mogę...

– Czy ktoś go tu zapraszał? – próbował dowiedzieć się Grześ.

– Nie, Grzesiu, on tu jest służbowo – zapewnił Gajski.

Bielinkiewicz zmieszał się jeszcze bardziej, tym razem już nie na żarty. Na szczęście w rozmowie nastąpiła naturalna przerwa związana z pochłanianiem szynek i kiełbas, a także pomidorów, ogóreczków i grzybków.

– Jeśli chcecie, opowiem wam pokrótce, o czym jest moja powieść – przerwał po chwili milczenie Gajski i wytarł usta serwetką.

– Jak się nazywa? – zapytał Martoflak.

– „Niegodziwcy”. To mikropowieść w nowelach.

– Opowiadaj, ale tak, żebyśmy zrozumieli.

– Okay. Akcja toczy się na początku wieku w małym galicyjskim miasteczku. Będzie tam opis pierwszego lotu pewnego hrabiego – jak unosi się w górę, robi trzy wielkie okrążenia nad pustkowiem, gdzie zebrały się tłumy zdziwionych gapiów. Dyrektor prywatnego gimnazjum chce uwieść jedną ze swych uczennic, w czym ma mu pomóc hipnotyzer. Potem do miasteczka przybywa książę Ferdynand w towarzystwie całego pułku kirasjerów i tam okazu-

je się, że od dawna szykowano na niego zamach. To taka organizacja terrorystyczna, na czele której stoi tenże stary hipnotyzer. Zaczyna się proces sądowy dyrektora gimnazjum, ale udaje mu się ująć cało, bo w trakcie procesu ma miejsce trzęsienie ziemi. Uczennica gimnazjum, która modliła się w tym czasie w cerkwi, zapada się razem z cerkwią pod ziemię i trafia do nieznanego przedtem podziemnej krainy. Tymczasem pilot, którego przedstawiłem na samym początku nie może wylądować, ponieważ trzęsienie ziemi wszystko zniszczyło.

– Znakomite! – pochwalił Martoflak upewniwszy się, że to już koniec opowieści.

– A ja nic prawie nie zrozumiałam – wyznała szczerze Marta.

– Ja sam nie wszystko rozumiem – zgodził się z nią Gajski. – Ale mimo wszystko z jakiegoś powodu bardzo mi się to podoba.

Przyjaciele wypili za wspaniałą powieść Gajskiego i zauważyli, że obok ich stolika któryś raz z rzędu przepłynął krępy i nieco szemrany typ, z wyrazem twarzy niezwykle przypominającym rekina. Typ zmierzył was kilka razy wzrokiem, ale trudno było ocenić, czy to dobrze, czy źle. W rogu sali dojrzeliscie ustronny stolik, przy którym siedział ten grubas w towarzystwie jeszcze kilku takich samych osiłeków, ale nieco młodszych. W zadziwiający sposób w tej ogólnie zwariowanej atmosferze Pysk Rekina i jego towarzysze zachowywali absolutny spokój.

Bodzio, donosząc jeszcze sześć sznycli po huculsku i cztery setki na ogólną prośbę, sprawił jednak, że zniknęło wasze chwilowe skrępowanie.

– Rostek, nie pij więcej – cicho poprosiła Marta.

– Nie będę – obiecał jej Martoflak – więcej niż trzeba. A na razie proponuję wypić za nas!

Wódka płynęła jeszcze waszymi przewodami pokarmowymi, kiedy Grześ trącił pod stołem Martoflaka i zaproponował:

– Chcę ci coś powiedzieć. Może wyjdziemy na chwilę? Wyszli i zostaliście przy stole we czwórkę.

– Wiecie, że nie może już dzisiaj pić – powiedziała Marta.

– Marto, kochanie, zapewniam cię, że wszystko będzie w porządku – z przekonaniem powiedział Niecnota.

– Rostek to twardy zawodnik.

– Chyba ja wiem lepiej – nalegała Marta.

– Wyglądasz dzisiaj jak gwiazda filmowa – szepnął jej na uszko Gaj.

– Skoro Martoflak nie może nie pić, to musi pić, w przeciwnym razie czegoś tu nie rozumiem – twierdził swoje Niecnota.

– Czy wiecie, kto przeszedł koło naszego stolika? – znieknacka przypomniał o sobie Bielinkiewicz.

Spojrzeliscie na niego pytająco.

– To Pietia.

– A któż to taki, niech to diabli, że z takim pietyzmem wymawiasz to „Pietia”? – zainteresował się Niecnota.

– To szef mafii.

– Może lepiej chodźmy stąd? – znowu zaniepokoiła się Marta.

– Nawiać? To przekracza nasze możliwości! – zapalił się Niecnota. – Musimy godnie reprezentować siebie.

Grześ i Martoflak palili w holu restauracji.

– Rostek, wszędzie wokół taki syf – mówił Grześ.

– Mam całkiem dość. Są na każdym kroku. Wiesz, stary, on mi wygląda na kapitana. Skąd on się tu wziął, kto go tu przyprowadził?

– Wyszedł po Gajskiego na dworzec. Powiedział, że od Stadnickiego.

– Tym gorzej dla Stadnickiego. Wierz mi, stary, mam czuja. On mi strasznie śmierdzi.

– Nie sądzę. Jaki by to miało sens? To naprawdę tylko chłopaczek z komsomołu, jak mówi.

– Nie bądź taki łatwowierny. Jak może zwykły chłopaczek z komsomołu mieć takie chody?

– Jakie znowu chody?

– No, otwarte podziemne przejście, klucze, wszyscy kelnerzy w pas się kłaniają, wolny stolik od razu się zna-

laż. Czy ty nie widzisz, jak się pcha z tymi swoimi pytaniami?

– E tam, to go po prostu interesuje.

– Interesuje, owszem, zgadzam się z tobą. Słuchaj, Rostek, kiedy wybierasz się do Ameryki?

– Gdzieś w przyszłym miesiącu. Nie mam jeszcze biletu.

– Wiesz co? Weź ode mnie te dziesięć dolarów, ale tak, żeby nikt nie widział...

– Po co mi one, Grzesiek?

– Daję ci w prezencie. Kupisz tam coś dla Marty. Masz fantastyczną żonę, stary.

– Dzięki.

– Wiesz, wokół taki syf. Powinniśmy trzymać się razem. Ja ich wszystkich nienawidzę, rozumiesz? Chcesz, to zaraz powiem mu o wszystkim, a potem razem damy mu po ryju, co?

– Nieee, po co.

– Dlaczego jesteś taki ostrożny, taki dobrze wychowany? Trzeba mu trochę przytrzeć nosa, słowo ci daję! Jak nie chcesz, to sam to zrobię!

– Grzesiek, tylko skomplikujemy sytuację. Trzeba po prostu jakoś delikatnie się go pozbyć...

– Dlaczego jesteś taki delikatny? Taki hrabia z siebie?

– Powiedz mi lepiej, co z Jurkiem.

– Kanał, Rostek.

– Skąd wiesz?

– Wiem od jego lekarza. Ostatnie analizy potwierdziły podejrzenia.

– O Boże!

– Wszystko jest możliwe. Jurek wie nawet więcej od nas.

– To znaczy...?

– Zupełny kanał, Rostek. A tu jeszcze ta gnida się pcha...

– Wystarczy nam forsy, żeby zapłacić?

– Wyjdzie nie więcej niż półtorej stówy za wszystko. Może zaraz go wywołam i mu dosunę w papę? Wiesz, że potrafię...

– Wiem, że potrafisz, ale to naprawdę nie ten przypadek. Proszę cię. Skończyłeś palić?

– Tak. Idziemy?

– Idziemy, napijemy się jeszcze. Słuchaj, a może to po prostu pedał? – wyraził przypuszczenie Martoflak.

– Jedno z dwojga.

– Albo i jedno, i drugie.

Wrócili do stołu właśnie w tym momencie, kiedy Gajski polewał.

– Mielśmy wrażenie, że już nie wrócicie – podzielił się swoimi myślami Niecnota.

– Ale przecież nie wypiliście wszystkiego – zaprzeczył mu Martoflak.

– Rostek, bardzo cię proszę – błagała Marta.

– Panie Martoflak, a kiedy pan się wybiera do Ameryki?

– zainteresował się Bielinkiewicz i czknał.

Grześ, choć i tym razem zmilczał, dość wymownie spojrzął na Rościsława.

– A jakie to ma znaczenie? – odpowiedział tamten. – Ameryka to zupełnie inny świat.

– Może będzie miał pan kontakty z tamtejszymi redakcjami czy wydawnictwami?

– Przepraszam, jak masz na imię? – dobrodusznie zapytał Martoflak.

– Igor.

– A ja myślałem, że Janek. Przecież mówiłem do ciebie Janek.

– Nie chciałem panu zaprzeczać.

– Aha! Wiesz, Igorku, przykro mi, ale bardzo nam się nie podobasz z tymi swoimi pytaniami.

– Chciałem przecież jak najlepiej – posmutniał Bielinkiewicz.

– Nie obrażaj się – poklepał go po ramieniu Martoflak.

– Spójrzcie, orkiestra przyłazła – skrzywił się Niecnota. – Zaraz zaczną te swoje kawałki i już nie pogadasz.

– Zamówimy coś jeszcze? – zainteresował się Gajski.

– Jasne – potwierdził Martoflak. – Koniak i coś do jedzenia.

– Mogę polecić placki – wtrącił się Bodzio, który sięgał właśnie Marcie przez ramię, by zmienić nakrycie.

– O, placki, potrawa bogów! – ucieszył się Niecnota. – Poproszę sześć porcji w sosie grzybowym!

Bodzio kiwnął głową na znak, że zrozumiał i zniknął jak Mefisto.

Tymczasem Bielinkiewicz, który w napięciu myślał, jak by tu się zrehabilitować w oczach towarzystwa, w końcu znalazł wyjście.

– Może zaprosić Pietię do naszego stolika?

– To brzmi interesująco – powiedział Niecnota.

– Tylko nie na długo – zażądał Gajski.

– Nie chcę – zaprotestowała Marta.

– Zawołaj! – zdecydował ostatecznie Martoflak usłyszawszy opinię Marty, a kiedy Bielinkiewicz, ucieszony, opuścił ich, zapytał: A kto to taki?

– Pietia to król mafii – wyjaśnił Niecnota. – To ten podobny do rekina.

– To ja sobie pójdę – Marta nie dawała za wygraną.

– To idź – zgodził się Martoflak.

– Obiecuję ci, że wszystko będzie w porządku – Gajski położył swoją dłoń na ręce Marty.

– Całkiem zgłupieli – nie mogła się uspokoić Marta. Pietia nie dał się zbyt długo prosić i właśnie zbliżał się do stolika w towarzystwie Bielinkiewicza na niezbyt pewnych nogach.

– Razrieszitie wam predstavit' maich charoszich družiej, paetow – rzekł do niego Bielinkiewicz. – Eta oczień sławnyje paety, izwiestnyje*.

– Pietia – uśmiechnął się przyjaźnie szemrany typ. Pocałował Martę w rękę, potem przywitał się po kolei z każdym.

Gajski nalał mu kieliszek.

– Za znakomstwo** – wzniosł w górę kieliszek rekin i wlał go sobie w szeroki pysk.

Teraz można było lepiej mu się przyjrzeć. Twarz miał okrągłą, policzki obrzękłe, niewielką bliznę na czole i trochę wylupiaste oczy. Krótką, opaloną byczą szyję zdobił gruby złoty łańcuszek. Reszta była ciałem opakowanym w marmurkowy dzins. Zwracała uwagę prawa dłoń z pier-

* Pan pozwoli, że przedstawię moich dobrych przyjaciół, poetów. To bardzo sławni i znani poeci.

** Za znajomość.

ścieniami, a każdy z nich niewątpliwie spełniał jakąś magiczną funkcję.

Zakąsili, pomilczeli delikatnie chwilę.

– Prijechali otdachnuť*? – zapytał Pietia.

– Tak, na Święto Zmartwychwstałego Ducha – wyjaśnił w imieniu wszystkich Bielinkiewicz.

– Eta prawilno, eta narmalno – odmruknął król. Jego głos można byłoby nazwać głębokim basem. – A cziewo ty za nich atwieczjaesz, ani szto, nie razhawariwajut**? – spojrzał na Bielinkiewicza.

– Oni mówią tylko wierszem – zachichotał Bielinkiewicz.

– Panowie, proponuję, żeby na cześć naszego gościa Pieti każdy zadeklowował swój wiersz.

Grzesiek zgrzytnął zębami, a cała reszta tak wymownie spojrzała na Bielinkiewicza, że momentalnie zrozumiał swój nietakt. Ale było już za późno.

– S udowolstwujem posłuszaju*** – zachęcił Pietia. Lecz wszyscy milczeli.

– Ja, kstati, oczień liubliu Jesienina – Pietia ratował sytuację jak umiał. – Kto-nibud’ pomnit Jesienina****?

– Wie pan – pierwszy odważył się Gajski. – Lubimy go.

– Wot i czudiesna. Paczitaj szto-nibud’*****.

– Ale uważamy, że lepiej jest robić to, co się nam w danej chwili podoba – kontynuował Gajski – a nie to, co pan nam każe robić.

– Moi państwo, chciałbym wznieść toast – podniósł się Niecnota z napełnionym kieliszkiem w ręce. – Nalejcie sobie, bo wznoszę toast.

Pietię zupełnie zatkała odpowiedź Gajskiego, teraz zaś przygotowywał się do wysłuchania toastu.

– Moi państwo! – zaczął Niecnota. – Człowieka stworzono tak, że zawsze mu mało. Z własnej woli przykuwa się do

* Przyjechaliście na wypoczynek?

** Prawidłowo, to normalne. A czemu ty za nich odpowiadasz, co, oni nie rozmawiają?

*** Posłucham z przyjemnością.

**** Wiecie, bardzo lubię Jesienina. Czy ktoś z was pamięta Jesienina?

***** No to wspaniale. Zadeklamuj coś.

łańcuchów istnienia, choćby i złotych, i z tymi łańcuchami na szyi wiedzie swój niedługi ziemski żywot. Ograbi swych bliźnich, a jeżeli mu to potrzebne, nawet strzela do nich z pistoletu. To smutne, ale tak już jest. Najgorsze, że człowiek nigdy nie zastanawia się nad tym, po co to wszystko. Przecież tak czy owak w finale ktoś zdąży wystrzelić szybciej od ciebie. Przecież koniec jest znany, jednakowy dla nas wszystkich i dla każdego z osobna. Lecz każdy człowiek uparcie i ślepo wierzy, że właśnie dla niego zrobią tam, w niebiosach, wyjątek i wszystko będzie mu wybaczone, będzie obdarowany wieczną szczęśliwością chodzenia w dżinsach i spędzania każdego wieczoru w restauracji, jak się to nam dziś zdarzyło. Czasem jednak w człowieku odzywa się ten wewnętrzny, wieszczy głos: „No cóż, i tak nie jesteś wieczny, założmy, że będziesz miał bogaty i wspaniały pogrzeb, na grobie w środku zimy kwiaty prosto z Brazylii, założmy, że postawią ci granitowy pomnik z twoim profilem w brązie, założmy nawet, że zjadą się twoi przyjaciele z całego Związku, by oddać ci cześć, założmy nawet, że będą dźwięczyć ich słowa oraz wiersze Jesienina, niech i tak będzie! – ale ciebie nie będzie już jutro na tej ziemi!“. Ten wewnętrzny głos czasem poruszy człowieka, rzadko, ale jednak, lecz on, niczym rekin, dalej robi to samo i nie ma zamiaru spokornieć. Wypijmy więc za upartego i nierozumnego człowieka, przykutego do złotych łańcuchów istnienia!

– To twój łabędzi śpiew, stary – powiedział Gajski, kiedy wypili.

Pietia nie wiedział jeszcze, czy ma się złościć, czy też dziękować za wspaniały toast. Wydawało się jednak, że spochmurniał nieco.

Wtedy wreszcie zaczęła grać orkiestra i zawiązał się nowy, ciekawy wątek.

– Ja chatieł by patancewať s etaj diewuszkoj* – król mafii zwrócił się do Marty.

Marta już miała zamiar jak najostrzej odciąć się swoim ulubionym „jeszcze czego”, ale przestraszyła się i milczała.

* Chciałbym zatańczyć z tą dziewczyną.

– Ja chateł by patancewać s etaj diewuszkaj – patrząc jej w twarz, powtórzył już znacznie głośniejsz Pietia.

No i masz problem, Martoflaku, teraz powinienes coś powiedzieć albo zrobić, a może lepiej niech tańczy, nic jej się nie stanie, rekin nie zje jej przecież, matki twoich dzieci, niech się dzieje wola nieba, no czemu siedzisz, jakbyś się zesrał, ona błagalnie patrzy na ciebie, jakby mówiła: no, powiedz coś albo zrób coś, jak znieść to jej błagalne spojrzenie, no, znajdź jakieś wyjście, przecież jesteś wielkim poetą, czego tak siedzisz, jakby ci dupa przyrosła, i wpatrujesz się w pusty kieliszek, ty fujaro, musisz coś wreszcie zrobić, przecież cały świat patrzy...

Lecz wstaje Gajski i jak najuprzejmiej mówi:

– Bardzo nam przykro, że musimy pana rozczarować, ale to ja miałem obiecany pierwszy taniec. Pozwól, Martusiu – zaprasza.

Marta wstaje (a cóż miałaby innego zrobić?) i pokornie idzie w ślad za Gajskim tam, gdzie w półmroku tańczą jakiś wolny kawałek.

Wydawało się, że Bielinkiewicz, choć siedział – aż przysiadł. Pietia przypatruje się uważnie wszystkim po kolei, jakby chciał zapamiętać...

W tej okropnej chwili Niecnota wyciąga z kieszeni tomik swoich wierszy, kreśli kilka słów na stronie tytułowej i wręcza królowi.

– Spasiba – Pietia schował tomik do kieszeni dżinsowej kurtki, nie przeczytawszy nawet tytułu. – Nu, ja pajdu. Tam riebiata żdut. Atdychajtie*.

Wstaliście, by godnie go pożegnać.

– Ja dumał, u was wiesielieje** – powiedział Pietia i odszedł.

– Igor – zapytał Martoflak – jak sądzisz, który z nich krócej pożyje na tym świecie, Gajski czy Niecnota?

– Myślę, że ja – odpowiedział za Bielinkiewicza Niecnota. Ale to był już zupełnie inny temat.

* Dziękuję. No to idę już. Chłopcy czekają na mnie. Przyjemnego wypoczynku.

** Myślałem, że weselej tu u was.

Sala restauracji urządzona była w starym stylu: ściany w drzewie, z rzeźbionymi pejzażami Czortopola (ratusz, apteka, poczta, bank, filharmonia), pod sufitem ogromne żyrandole z drzewa i mosiądzu zrobione przez jakichś huculskich majstrów, ale tu, nad tańczącymi, światło było przyćmione i panowała intymna atmosfera zalotów.

Marto, czuję cię całą, gibką i ciepłą, każdy twój ruch jest dokładnie taki, jak chcę, całkowita zgodność, choć to tylko taniec, ale jakże blisko jesteś, nie jestem Martoflakiem, dziewczyno, tak nie można, chciałem tylko wam pomóc, tobie i Martoflakowi, uratowałem sytuację, jestem super, zawsze pojawiając się w decydującym momencie, nie mogłem oddać cię na pastwę tego bydlaka, wyobrażam sobie, co by tu z tobą wyprawiał, jesteś przecież taka ciepła i gibka, aż mi się kręci w głowie od wszystkiego naraz – od ciebie, muzyki, wódki, niebezpieczeństwa, niech to diabli, warto żyć, zgodziłbym się nieść cię na rękach, księżniczko, pani, królowo tańca, wirująca kobieto*, nie męcz mnie teraz, bo zwariuję, mogę cię wykraść, jestem silny, jestem sprężyną, jestem niekontrolowanym wulkanem na święcie wskrzeszonego ch...!

– Orku, jestem ci ogromnie wdzięczna – wyszeptała Marta.

– Nie ma za co. Marzyłem o tym, żeby trochę narozrabiać – odpowiedział Gajski. – A ty byś poszła tańczyć z tym debilem?

– Jeszcze chwila i – poszłabym. Zaczęłam się bać, że zaraz zrobi coś strasznego i trzeba będzie was ratować.

– Przestraszyłaś się go?

– Bardzo. Jest taki groźny.

– Ma chyba miękkie serce.

– Co ty powiesz! Prócz tego bałam się o Martoflaka. Bo jakbym poszła z czortem tańczyć, mógłby też...

* W oryginale: „litajucza żinko”, aluzja do tytułu tomiku poezji Wiktora Neboraka „Litajucza hołowa”.

– Co?
– Coś zrobić.
– Byłby szczęśliwy, jak wszyscy prawdziwi masochiści.
– To po prostu wielki dzieciak.
– To prawda. To złoty człowiek. Masz wspaniałego męża, Marto.

– Kpisz ze mnie?
– Skądże. Mówię poważnie.
– Świetnie tańczysz.
– Dziękuję. Masz piękne piersi.
– Gaj, przecież naprawdę nie jesteś taki. Cały czas usiłujesz być zuchowatym cynikiem. A w rzeczywistości taki nie jesteś.

– Tak naprawdę każdy z nas jest inny. Grzesiek ma miękkie serce i każdemu ufa. Niecnota jest milczący i niezdecydowany. A twój Martoflak jest śmiały i odważny.

– Znowu docinki?

– Tak. Dziękuję za taniec, o pani.

Wrócili do stołu, kiedy przyjaciele bez nich rozprawili się z zamówioną wódką i zanim Bodzio wyruszył po następną kolejkę, wzięli się za skwierczące placki, przyniesione przed chwilą przez wyżej wspomnianego Bodzia.

– Nikt z was ni ch... nie rozumie z twórczości Antonycza!
– krzyczał Martoflak, starając się zagłuszyć początek następnego tańca.

– Jest tylko jeden klucz do jego twórczości – odpowiadał na to Niecnota – a każdy z was ma go między nogami!

– Ładne powitanie – powiedziała Marta.

– O, już się natańczyliście? – doszedł do wniosku Martoflak i kontynuował dyskusję. – Ten klucz, co między nogami, dla każdego jest dobry! Ale dla Antonycza to za mało. Możesz sobie operować ile chcesz tym swoim pie... idiotycznym freudyzmem, ale i tak nie zrozumiesz Antonycza, choćbyś się zesrał.

– A dlaczego sądzisz, że tylko tobie dane jest zrozumieć istotę poezji Antonycza? Skąd wiesz, kurwa mać, że ja do niej nie doszedłem?

– Bo pierdolisz, eee, mówisz całkiem bez sensu o „Księdze Lwa”!

– Ja? Przecież o „Księdze Lwa” nawet nie wspomniałem! Trochę wyżyłem się na twoim wierszu, który nam tu wygłosiłeś i który mi się nie spodobał...

– Mam to gdzieś, czy ci się to podoba czy nie, potrzebne mi to jak suchej dupie popiół – uciął dyskusję Martoflak, tym bardziej, że na stole zjawiała się świeża ćwiartuchna.

– Rostek, a w jakich miastach w Ameryce będziesz? – Bielinkiewicz z trudem poruszał językiem.

– Cieszę się, że przeszliśmy już na „ty” – zamiast odpowiedzi zwrócił mu uwagę Martoflak.

– Kim jest ten parszywy facio z różowiotkimi policzkami? – odezwał się w końcu Grzesiek, który milczał przez ostatnie czterdzieści minut.

– Grzesiu, jestem waszym kolegą – wyjaśnił Bielinkiewicz.

– A mnie się wydaje, że jesteś kolegą majora.

– No nie, słowo daję, najwyższa pora stąd iść! – Marta znów się zaczęła denerwować.

– Kim jesteś? – kontynuował Grzesiek. – Znam wszystkich tu obecnych. Znam Gajskiego, to wspaniały poeta z Lenigr... z Leningradu, znam Rostka Martoflaka, to wielki poeta i mój kolega, znam jego piękną żonę Natalię...

– Martę – poprawił Bielinkiewicz.

– Martę – powtórzył Grześ. – Znam Jurka Niecnotę, to rewelacyjny poeta i wspaniały kolega, znam siebie. A ty kim jesteś? Czy ktoś może mi coś powiedzieć o tym dziwnym człowieku?

Wszyscy milczeli, więc Bielinkiewicz zaczął wyjaśniać:

– No, wiesz, jestem członkiem Komitetu Organizacyjnego.

– Jesteś podła świnia – z uśmiechem przerwał mu Grzesiek.

– Grześ, przestań, przecież cię prosiłem – powiedział Martoflak.

– Przepraszam cię, Grzesiek trochę przeholował – powiedział Niecnota do Bielinkiewicza.

– Jurek, powiedz mu to, on cię posłucha – zaczął biadolić Bielinkiewicz. – Przecież tak się dla was starałem... – i łza pociekła mu po policzku.

– Grześ, dość! – władczo rozkazał Martoflak. – To niezły facet, nawet, jeśli kagebista.

Te słowa nieoczekiwanie uspokoiły Chromolskiego. Tymczasem Gaj, który robił wrażenie najtrzeźwiejszego z nich, zapytał Bielinkiewicza po cichu:

– Mógłbyś mi pożyczyć do jutra dwie stowy?

– Mógłbym, a co?

– No to rozlicz się z Bodziem, jutro ci oddam!

– Coś ty, nie musisz nic oddawać – zaczął machać rękoma Bielinkiewicz.

– Piję zawsze na własny rachunek – uciał Gajski. – Chłopaki, która godzina? – zwrócił się głośno do wszystkich.

– Za pół godziny się zaczyna – odpowiedziała mu Marta.

– Tak. Słuchaj no, Bielinkiewicz – Gajski wyrąbywał każdy wyraz jak dowódca marynarki wojennej. – Idziesz do Bodzia, rozliczasz się, z tym, że dla każdego jeszcze po kawie i pięćdziesiątce koniaku. Potem przychodzisz i zdajesz mi sprawozdanie z rachunku. Idź!

Bielinkiewicz poleciał jak na skrzydłach. Cieszył się, że znowu traktują go jak człowieka.

– Teraz proszę o uwagę – jak najuroczyściej powiedział Grzesiek. – Zaraz usłyszycie mój ostatni wiersz. To mój najlepszy wiersz. O pewnym człowieku. Jest dość długi. Proszę, żeby wszyscy słuchali i nie przerywali. To zupełnie nowy wiersz. Powiedziałem w nim wszystko, zobaczycie. To mój przedostatni wiersz.

– Przedostatni czy ostatni? – spytał Gajski.

– Ostatni się nie liczy. Ten jest przedostatni. Prosiłem, żeby nie przerywać.

Wszyscy siedzieli cicho. Martoflak chciał przypalić od filtra, ale Marta w porę zauważyła.

– Zaraz sobie przypomnę. Zaraz. Pierwszy wers jest rewelacyjny.

– Tylko pierwszy? – zapytał Gajski.

– Nie p... Zaraz sobie przypomnę. To wolny wiersz. Wszyscy słuchali, ale miny mieli już nieco znudzone.

– Napisałem go przedwczoraj. Ten, który napisałem wczoraj, nie liczy się.

– Napisałeś go przedwczoraj? – zapytał Gajski. – To nam go przeczytasz za dziewięć lat. Seneka radził chować do szuflady nowe utwory na dziewięć lat.

– Do dupy z tobą i twoim Seneką. Gdzie mój rękopis? – raptem spłoszył się Grzesiek. – Aha, jasne, sprzedałem go za dziesięć dolarów. Ale zaraz sobie przypomnę. Mam go całkiem świeżo w pamięci. To wiersz o pewnej wiosce.

– Czy o pewnym człowieku? – znowu wyskoczył Gaj.

– Nic nie rozumiesz. Nie znałeś tego człowieka. Ja go znałem. Ten wiersz jest poświęcony jego pamięci. Chwila. Słuchajcie.

Przymknął oczy i zaczął recytować:

*Trawa, ta pielona dziewczyna na rudym zboczu,
co roku inna, węże przez nią przeslizgują się,
z maleńkimi oknami podziemnej siedziby Boga,
który spogląda z dołu tylko przez wilgotne źdźbła...*

Nie, to było inaczej. Zaraz sobie przypomnę. Aha:

który spogląda z dołu przez zielone źdźbła...

Nie, tylko przez wilgotne źdźbła.

Tymczasem znowu przybiegł Bodzio z kawą i ostatnią kolejką koniaku. Bielinkiewicz szepnął na ucho Gajskiemu:

– Sto osiemdziesiąt trzy ruble i czterdzieści pięć kopiejek.

– Zapisz to sobie na czole, żebyś nie zapomniał – poradził mu Gaj.

– Koniec, nie przypomnę sobie! – z rozpaczą wyznał Grzesiek. – Nic nie usłyszycie! I tak byś nie zrozumiał, chłopcze – i poklepał Bielinkiewicza po policzku.

Kawa pachniała nieźle. Koniak też. Zaczęliście się spieszyć, bo usłyszeliście, jak za oknami, na rynku, zaczyna wrzeć. Większość gości już opuściła restaurację.

Bielinkiewicz podskoczył ze swoim koniakiem i raptem zapał:

– Panowie, proponuję wypić za naszego wodza, Stepana*.

– A nie mówiłem? – zauważył Grześ, ale wypił, jak i pozostali.

* Chodzi o Stepana Banderę; wspomnianie jego imienia było zakazane (przyp. tłum.).

– Rostek, przywieziesz mi z Ameryki trochę książek, dobrze? – poprosił Bielinkiewicz już przy szatni, kiedy towarzystwo zabierało swoje manatki.

– Dobra, stary, przywiozę ci coś ciekawego – obiecał Martoflak. – Na przykład księgę Guinnessa.

– Nie, nie o takie książki mi chodzi... Potem ci powiem, dobrze?

Nie odczepił się nawet wtedy, gdy stali już na rynku, wypełnionym ludźmi, gwarnym, oświetlonym różnokolorowymi reflektorami, lampionami i pochodniami. Zaczynało się coś nieprawdopodobnego.

Gdy na czortopolskim ratuszu wybiła dwunasta, zaczęło się. Od strony dawnej ulicy Sakramentek sunęła ogromna procesja przebierańców, na czele której kroczyło kilku porządkowych z Komitetu Organizacyjnego z opaskami na ramionach i megafonami w rękę. Po przybyciu na rynek procesja rozplynęła się kilkoma strumieniami. I oto idą tuż obok nas, uderzając w struny, bębny i kotły, dmąc w surmy i rogi, grając na harfach i gęślach, fletach oraz cymbałach, w maskach i z wymalowanymi twarzami, jest ich całe mnóstwo!

To Aniołowie Pańscy, Cyganie, Maurzy, Kozacy, Niedźwiedznicy, Żacy, Czarci, Wiedźmy, Rusalki, Prorocy, Ojcowie Bazylianie w brązowych habitach, Żydzi, Pigmeje, Ułani, Dziwki, Legioniści, Pastuszkowie, Jagnięta, Kalecy, Wariaci, Mordercy, Zbójcy, Turcy, Hindusi, Strzelcy Siczowi, Włóczędzy, Kobziarze, Metalowcy, Samuraje, Darmograje, Złościcy, Janczarzy, Saraceni, Hebrajczycy, Murzyni, Patrycjusze w togach, Dupy, Pisarze, Kłamcy z językami na brodzie, Debile, Kozacy-Zaporożcy, Piechurzy, Muzykanci, Mahometanie, Ladacznice, Huculi, Trojańczycy, Sarmaci, Hippisi, Ślepi, Święci z kartonowymi aureolkami, Hetmani, Mniści, Półpanki, Kłoszardzi, Trubadurzy, Rzeźnicy, Prawnicy, Łupieżcy, Pijacy, Lekarze, Arabowie, Opryszkowie, Ojcowie Dominikanie w bieli, Cipy, Herosi, Piwosze, Mocy-mordy, Szmalcownicy, Barszczojady, Gołodupcy, Wyrwidęby, Minstrele, Kurwy – resztę trudno wyliczyć, bo byli tam jeszcze Generałowie, Goryle, Pawiany, Nimfy, Asyryjczycy, Argonauci, Chwycitorby, Lirnicy, Szynkarze, Macedończycy,

Piwowarzy, Anachoreci, Rakarze, Ukraińcy, Gnomy, Czarne Koty, Żaby, Alchemicy, Cichodajki, Trędowaci, Tatarzy, Abisyńczycy...

Wszczęli straszny tumult i harmider, ciągnąc gapiów za ręce, gryząc, całując, wciągając w tłum tych, co się nie sprzeciwiali. Nad ich głowami powiewały różnorakie dzwawcze sztandary: zielono-fioletowe, biało-różowe (w pa-ski), czarno-białe szachownice, czerwono-lazurowe oraz niektóre inne.

Poruszacie się niemal równolegle z nimi, ale tak, by się nie pogubić, na dodatek Bielinkiewicz uwiesił się na szyi Martoflakowi, który i bez tego ma trudności z poruszaniem się.

Tymczasem z namiotów powynoszono kupę różnych różności; wszystko błyszczy i pobrzękuje, a na drewnianych podestach pojawiają się różni magicy, co to umieją udać, że pożerają ogień albo połykają noże, inni stoją na głowach, a są i tacy, co czytają różne głupoty o tym i owym, inni znów grają w karty albo ciągną gorzałę, a prócz tego niektórzy tańczą pod pomnikiem pierwszych komsomalców, bo powieszono na nim napis „Tu się tańczy”.

Na jednym z podestów pokazują pantomimę, gdzie wszystko polega na żonglowaniu kielbaskami, które tak naprawdę mogą być czymkolwiek. Na innym trwa konkurs dowcipów; jakiś namolny stryjek stoi zbyt blisko mikrofonu i opowiada, jak ożenił się młody chłopak i co z tego wyszło.

– Pohamujcie się! – krzyczy siwowłosy prorok z innego podestu. – To ostatnia chwila! Czy znacie liczbę 666?

– Znamy!

– A ile to jest trzy razy 666?

– Nie wiemy!

– A ja wam powiem! Trzy razy 666 równa się 1998!

– Oho! I co z tego?

– Rok 1998 będzie ostatnim! Każdy musi gotować się do niego, bo wszyscy jesteście cudzołóżnikami i złoczyńcami, więc musicie za wszystko odpowiedzieć, inaczej mówiąc, dadzą wam za wszystko tak po dupie, że na wieki ugrzęźnicie w kipiącej smole. Będziecie cuchnąć i cierpieć męki!

Tłum oklaskuje go, tym bardziej, że na jakiś czas wznosi się nad podestem, rozpościerając ręce niczym skrzydła, ale w tej samej chwili spadają mu spodnie, a na gołym tyłku widnieją wielkie cyfry 1998. Z przodu nie ma nic. Dziwne, ale całkiem możliwe, że użyto jakiejś iluzjonistycznej sztuczki. Ci szarlatani zdolni są do wszystkiego.

Jakiś człowiek w starym kapeluszu i – co ważniejsze – z tak długimi wąsami, że należałoby je zakładać za uszy, rozłożył swój kram na bruku i głośno zachwala swoje wynalazki.

– Szanowni grażdanie! Wynałazłem mnóstwo intieriesnych przedmiotów, a toż zioła i rośliny lecznicze! W ranej młodości rozmawiał ze mną duch młodego Łomonosowa, wsledstwije czego stoję tu oto pieried wami, taki choroszy i niezły. Kto żelaje bliżej poznać się, ten może. Kto nie żelaje, puść uchodzi czym prędzej, bo mogu rence i nogi połamać! I nie nada tu swym pyskiem handlować, miejsce zajmować. O tam są normalni ludzie, dla nich drugom budu. Bo taki już jestem; szto da, to da, lubicie moju zadnicu Gospoda! A tiepier po poriadku o moich autorskich projektach, o moich cudotwórczych, job, rieceptach. Cudowne sriedstwo na wywoływanie wymiotów, krwotoków, biegunek, boleści i utraty przitomności. Ingredients: czarna kawa, wódka „Stoliczna”, koński pot, tłuczone szkło, jad żmii, uksus albo ocet – co komu bolsze nrawitsa plus ludzkiego mięsa niemnego, bodaj kapkę! Idealne sriedstwo, kiedy nie kochają was, job. Wykorzystują wywiady wszystkich zapadnych stran, tylko u nas nie wykorzystuje durny Iwan! A wy stąd spadajcie, kak nie intieriesno, sehr schlecht, too bad, bo mogę niechotia rozbić łeb albo i przetrącić grzbiet.

– To Stasiek, aktor z teatru Stadnickiego – wyjaśnia wszystkim Niecnota, żeby przypadkiem nie pomyśleli, że to naprawdę jakiś schizol ze swoim kramem.

– Mam wrażenie, że wszyscy tu na tym placu to aktorzy z teatru Stadnickiego – uogólnia Martoflak, strząsając z siebie na wpeł śpiącego Bielinkiewicza, który zabalgotał w tym momencie coś w rodzaju „ku chwale ojczyzny”.

– Co mam zrobić z tym worem? – zapytał Martoflak, wskazując na leżącego komsomolca.

– Może by wrzucić w tę beczkę z gołymi dziewczynami, niech trzeźwieje – proponuje Grześ.

– Po drugie, może się utopić, a po pierwsze, gdzie ty tu widzisz beczkę z gołymi dziewczętami?

– Musi nas zameldować w hotelu „Magura” – przypomina wszystkim Marta. – Bez niego mogą nas nie wpuścić.

– No to targaj go na własnym grzbiecie! – wybuchają Martoflak. – Ja mam dość, wykonałem już swój chrześcijański obowiązek.

Wszyscy razem podnosicie z bruku lejącego się przez ręce Bielinkiewicza, bełkoczącego: „Cześć bohaterom!”, tarabanicie go do Popielowego chryslera, który nie wiadomo skąd się tu pojawił, bagażnik jest oczywiście otwarty, z uczuciem ulgi wrzucacie tam obezwładnionego snem Bielinkiewicza – niech odpocznie, sukinsyn, dobrze mu tak.

Potem znowu zanurzacie się w święcie – macie go, chodzicie dobrą godzinę, ale gdzieś w środku coś wam przeszkadza – wszystko jest nie tak, chociaż z drugiej strony, właśnie tak, Staszek popisał się, postarał się, zrobił, jest i kobziarz, śpiewa o kozaku i czerwonej kitajce czy kalinie, studenci przedstawiają misterium o ojczyźnie, można też kupić w budce horoskop albo zjeść szaszłyk albo też postrzelać z łuku do ogromnego kartonowego Stalina, albo podziwiać kolejny tyłek kolejnej pretendenci do tytułu „Superpanna”, albo pociągnąć z gwinta, albo wymalować sobie pysk na żółto i na niebiesko, albo posłuchać oratorium, albo popatrzeć przez teleskop na niebo, albo wygrać na loterii, albo pobić się z kimś, tak po prostu albo o samyczkę, albo pożonglować nożami i pomarańczami, albo uwalić się jak Bielinkiewicz, albo kupić sobie amulet na łańcuszku, albo krzyżyk, albo wyciągnąć kopyta, albo postrzelać w prowizorycznej strzelnicy w tirze, albo kupić stary patefon, albo odtańczyć na rynku rytualny taniec – arkan, albo pośpiewać wraz ze swym towarzystwem o rekrutach i czerwonej kalinie albo czerwonej kitajce, albo kąpać się z dziewczynami w beczce, albo spać w bagażniku czarnego wozu, albo kupić sobie Biblię po ukraińsku, albo Koran po arabsku, albo kalendarz porno, albo kasetę wideo, albo kałasznikowa, albo jelenie rogi, albo koguta, albo kurkę, albo sztandar, albo

dżinsy, albo ciało, albo Boga, albo morfinę, albo żebra, albo piersi, albo piwo, albo wodę, albo fajkę, albo gwoździe, albo skórę, albo rany, albo wziąć dupę w troki i pójść do hotelu, albo chodzić tu do rana, albo umrzeć...

Te ognie nad wami, te latające pochodnie, to obżarstwo ogniem, te barokowe mury budynków, obwieszona girlandami i umajone zielonymi gałązkami, te wyrzeźbione figury w bramach i niszach, obsypane konfetti i serpentynami, wymazane łajnem i spermą, te pomarańczowe namioty z tysiącami pokus i tysiącem zasad, te wieże nad sadami, te mury, ten ratusz z najwyższą na świecie wieżą, te góry nad miastem, te gwiazdy na niebie.

Ten mrok miasteczka, te nietoperze na dzwonnicach, te świece na cmentarzach, te katownie w podziemiach, te studnie wypełnione kośćmi, te rupiecie w starych pokojach, te fontanny pokryte rzęsą, te wysypiska śmieci na zboczach, te głosy w podziemiach oraz te porzewiałe rury, krany, rozbite muszle, zaśmiecone wanny, zużyte naczynia, podarte prześcieradła, pobita porcelana, zakopane dzwony, spalone książki, krzyże bez ramion, czterej jeźdźcy.

Te sine półkole, te pomalowane usta, święte siniaki, stygmaty, rozszerzone żyły, zapadnięte nosy, powykrzywiane plecy, ruchliwe jęzory, śpiewające biodra, dziurawe pończochy, obnażone ramiona, skrwawione kły, ostre obojczyki, pokąsane wargi, te latarnie pomiędzy nogami, ten blask.

Jesteście bezsilni, nie możecie nic w tym zmienić – krążcie jak somnambulicy, każdy ma swą planetę, każdy pójdzie swoją drogą, chociaż zupełnie szczerze chcieliście być razem i nie robić głupstw, lecz alkohol wędruje już waszymi żyłami, a święto chodzi po was nogami, jesteście zmieleni, niczym farsz dobrego kucharza, bo, jak mówił Niecnota, wszyscy jesteście samotni, więc wątpliwe, czy uda się wam coś wychodzić pomiędzy tymi namiotami i podestami, pomiędzy tymi pięknymi kalekami, na tym placu otoczonym zewsząd górami i Europą, gdzie każdy z was będzie błąkać się po swojemu, no właśnie, już się zaczyna, wołają, wzywają, ciągną za rękaw, proszą, żądają:

– Panie Martoflak!

Nareszcie doczekałeś się, Martoflaku – naród kocha swoich poetów, wołają cię, chcą ciebie, zaczniesz wymalowywać autografy tym sympatycznym młodym ludziom w wyszywanych koszulkach i marmurkach, to pewnie studenci, śnią im się twoje wiersze, wśród nich Marta rozpoznaje tego, który w autobusie mało nie zemdlął ze szczęścia, gdy cię zobaczył.

Piszesz różne bzdury w brulionach, na swoich zbiorkach, na portretach, Martoflaku, bo najważniejsze to nigdzie nie powtórzyć żadnego autografu, musisz być lakoniczny, dowcipny, głęboki, wielkoduszny, samowystarczalny, inteligentny. Dziewczyna z oczyma ciemnymi i błyszczącymi jak węgielki, z lekko wydętymi wargami nie ma ani brulionu, ani tomu poezji, ani też fotografii, Martoflaku, więc prosi, byś się podpisał na jej czole, ty zaś prosisz o flamastry – niebieski i żółty – i na jej gorącym czole wypisujesz swe inicjały, brawo, bis, całujesz ją w rękę, no i co dalej? A twoi kumple, stojąc kilka kroków opodal, teraz już ze złością nawołują:

– Martoflak! Rostek! Stary! No idziesz czy nie?! Po kiego?

Czujesz się jak ryba w wodzie, Martoflaku. To moi przyjaciele, wyjaśniasz uprzejmie studentom, à propos, też poeci – Niecnota, Gajski, Chromolski – nie słyszeliście? To usłyszycie, to zdolni chłopcy, czasem im coś wychodzi, kim jest ta dziewczyna z nimi, nawet nie wiem, wszyscy śmieją się, zaczniesz kłaniać się im, ale znajomy z autobusu napomyka, że tuż obok mają suto zastawiony stół, jest też gitara, mnóstwo alkoholu, więc czy nie mógłbyś z nimi posiedzieć chwilę – byłoby wspaniale. Dwa węgielki tak wpatrują się w ciebie, że otrząsas się z resztek skrupułów i krzyczysz do swoich:

– Hej, słuchajcie, zostawię was samych na godzinkę!

– Rostku! – słyszysz głos Marty i przez chwilę jej zagubione spojrzenie napotyka twój wzrok, posyłasz jednak wszystkim pocałunek w powietrzu, mam was, że tak powiem gdzieś, i w otoczeniu hałaśliwego roju studentów idziesz w kierunku zastawionego stołu i dźwięku gitary gdzieś w zaroślach.

Trzymają cię pod rękę, szkoda, że nie mają jakiejś lektyki z baldachimem, bo ponieśliby cię na ramionach, tak, ta

kruszyna z twoimi inicjałami na czole też, ma niezwykle imię Zoresława, nie tak daleko znowu trzeba iść, skręćcie w jakieś podwórze między budynkami, w pobliżu rynku, a tam, na młodej trawie, pod przekwitającymi wiśniami, rzeczywiście stoi nakryty stół, zapraszają cię do niego, lampa naftowa rzuca ciepłe światło, wszyscy hałaśliwie się sadowią, wypijacie pierwszy kieliszek czegoś własnego wyrobu, potem, rzecz jasna, także drugi.

Lubisz, Martoflaku, takie chwile, słuchają twego głosu, niczym proroka, każde słowo jest na wagę złota, czujesz się jak minister spraw zagranicznych czy też wewnętrznych na briefingu, twoje odpowiedzi są błyskotliwe, jesteś wspaniałą, Martoflaku, dawno nie podobałeś się tak sam sobie.

– Panie Martoflak, czy obecny parlament może zmienić na lepsze naszą sytuację?

– A czy krowa może latać? – odpowiada, pytaniem na pytanie.

– A co w takim razie powinniśmy zrobić?

– Powinniśmy rosnąć w siłę.

– Kto wyjdzie zwycięsko z konfliktu: katolicy czy prawosławni?

– Jak zawsze, zwyciężą bezbożnicy. Bo dla Ukraińca ważniejsza jest ilość wyszywanych ręczników w cerkwi, aniżeli jakieś tam Kazanie na Górze.

– Czy nie sądzi pan, że mogą wprowadzić stan wojenny?

– Nie jestem prorokiem, ale nie jest to dobre rozwiązanie.

– Czy zalegalizują symbolikę narodową?

– Zalegalizowała je nasza historia. Nie potrzebują dodatkowego zatwierdzenia.

– Czy wierzy pan w Boga? Czy pomogą nam przybysze z innych planet? Czy pomoże nam Ameryka? Czy uratuje nas Międzynarodowy Fundusz Walutowy? Czy zbawi nas skarb hetmana Połubotka? Czy pomoże nam ONZ? Czy pomoże nam Bruksela? Czy uratuje nas Genewa? Czy zbawi nas miłość? Czy pomoże nam Warszawa? Czy Wałęsa nas polubi? Czy uratuje nas Izrael? Czy Arabowie nam uwierzą? Czy pomogą nam Tatarzy? Czy Turcy pójdą z nami?

Odpowiadasz, Martoflaku, na wszystkie te pytania z ła-twością i elegancją, napawając się jednocześnie narastają-

cym szumem w głowie, drobną dłonią Zoresławy w swojej dłoni, głęboką, pobożną ciszą, towarzyszącą twojemu monologowi.

Wiecie, moi drodzy, każdy nasz krok to kroczenie drogą. Popiół imperium może pokryć wszystko, ale prócz niego istnieje także przedwieczny wiatr, napowietrzny ruch, strumienie ozonowe. Uratuje nas jedynie wiatr, jedynie woda w rzekach. Broń o świcie jest piękna i błyszcząca, promieniuje wręcz. Każdy z nas ma tę broń przy sobie, ostrą niczym Słowo Boże. Nie zapominajcie też o złocie słońca, mchu na kamieniu, o ciepłych zwierciadłach jesieni. Kochajcie dziewczęta, a one narodzą was samych. Hodujcie pszczoły i nie depczcie mrówek, a będzie wam stokrotnie oddane. Uprawiajcie ziemię, tak jak to zapisano w księgach, wypasajcie stada owiec na zboczach. Postawcie drewniane posągi bohaterów, kupujcie ptaki w klatkach i wypuszczajcie je na wolność. Kochajcie ryby, jak też każdy symbol. Słuchajcie głosu krwi waszej, bo krew jest potęgą. Szanujcie najmniejsze źdźbło trawy, bo trawa to naród, to nadzieja. Módlcie się wtedy jedynie, gdy ujrzyicie ptaka czy też ranę. Kiedy w końcu pojmiacie samych siebie, zrozumiecie, że ta droga nie ma kresu. Bóg jest Miłością, Bóg jest naftą, i wszystkim innym także.

Upajasz się własnymi słowami niczym palącym samogonem, Martoflaku. Są gotowi pójść za tobą już w tej chwili, wyteżają swoje nieco zamroczone mózgownice i udają, że pojęli coś z tego, co im tu plotłeś, choć ty sam niczego nie pojąłeś, ale czujesz, jak im to jest teraz potrzebne. Skądś wzięła się gitara i wysmukły minstrel w okularach i z dużymi uszami zaczyna ledwie dosłyszalnie trącać struny, znowu wychylacie po kieliszku, Martoflaku, jest ci dobrze, błyszczące dwa węgielki świecą ciepłym ogniem, wszystko zamilkło, anioły unoszą się lekko, uszaty zaczyna śpiewać o jakiejś fatalnej wyprawie przesławego wojska zaporoskiego, z której do tej pory nikt nie powrócił, błakają się więc w dzikich ostępach i do dziś dzień nie wiedzą, czy w Europie są, czy w Turcji, czy też może w raj. Pieśń wzrusza do łez, zachrząściłeś palcami, Martoflaku, płacze Zoresława, płaczą niemal wszyscy, zapalają papierosy, wy-

chylają po następnym, znów płaczą, bo zaczyna się druga pieśń o białych kościach kozackich, spoczywających na samym dnie pod Petersburgiem, o tym, jak jednak przebijają się wiosną przez asfalt zielenią, a petersburskie gimnazjalistki plotą z niej wianki, twoi nowi znajomi powoli podnoszą się i zaczynają tańczyć, na tymże podwórzu, wokół stołu, ktoś zabiera twoją błyszczącą gwiazdkę, Zoresławę, ona także tańczy, za stołem pozostajesz ty i uszaty, który śpiewa następną pieśń – o brance z zielonego lasu, jak poszła na jagody i pojмали ją Tatarzy, lecz umknęła im, potem poszła za rzekę i pojmały ją wraz z Lachy, lecz umknęła im, potem zaś wyszła za mąż z rozsądku za brodacza i męczy się do dziś...

Mierzwisz brodę, Martoflaku i zapewne niezupełnie tak tłumaczysz sobie usłyszaną pieśń, przypominasz sobie o Zoresławie, gdzież ona się podziała, wszyscy gdzieś zniknęli, tańczyli i zniknęli, tylko wy dwaj z uszatym pozostaliście, mówisz mu wiersze, on śpiewa, potem zapada długie milczenie, tylko noc was słucha, chociaż tu także dobiegają odgłosy z rynku, do tego średniejskiego patia, gościnnego podwórza.

Chyba za dużo wypileś, Martoflaku, gdzie ona, u licha, się podziała, pokazałbym jej, co znaczy prawdziwy mężczyzna, splelibyśmy się w drzewo miłości, wyroslibyśmy aż do nieba, darłbym ją, jak mała papier, z kim też ona teraz jest, kto całuje jej dłoń?

Muzyka to ruchoma architektura – dalej ciągniesz frazesy, chociaż uszaty pewnie już drzemie przy stole. – Elektryfikacja to komunizm minus władza radziecka. W sile jedność narodu. Ta słodka wolność – słowo. Niezmiernie podobają mi się pańskie słowa, ale oddam życie za to, by nie mógł pan ich bez przeszkód wyrażać, panie Wolter – po wypowiedzeniu tych głębokich myśli wstajesz i ruszasz w kierunku sadu, pogrążonego w ciemnościach, trawa płacze się pod nogami, Martoflaku, ale w końcu znajdujesz to, czego szukałeś. Zoresława śpi na trawie, a właściwie na rozścielonym płaszczu, przytulona do śpiącego chłopaka o złotych włosach z czerwono-czarnym znaczkiem na piersi, ona zaś ma twoje inicjały na czole, leżą objęci, jak dzieci Boże i wi-

dzą we śnie ojczyście niebios, prawdziwa idylla, czyżby naprawdę jej nie przeleciał, pierdoła saska, niedorobiony jakiś, przynajmniej byłoby o jednego Ukraińca więcej.

Nic tu po mnie, trzeba stąd iść. Wracasz na podwórze, mijasz uszatka, który na dobre zasnął przy stole, okulary spadły, śpi z odchyłoną do tyłu głową, grdyka porusza się w rytmie chrapania, nie można tego słuchać, byleby dowlec się do furtki i wyjść na ulicę. Tam otaczają cię stare mury, porośnięte mchem, bluszczem i wawrzynem, dźwięk twoich niepewnych kroków jest głośny i głęboki. Gdzie, u licha, podział się rynek, albo hotel, spać się chce, kobita jaka by się zdała, zapaliłoby się i pogadało z przyjacielem.

Sam jesteś na tym świecie, niepotrzebny nikomu, no i po co tak patrzyła na mnie, złapałem się na te dwa węgielki, z dziesięć lat ode mnie młodsza, a tak mnie w konia zrobiła, Dynamo-Czortopol, wyśliznęła się w ostatniej chwili i teraz sam jestem na tym świecie, który marnością jest nad marnościami i całkowitym bezsenssem.

Mijasz jakąś otwartą bramę i zatrzymujesz się. Ktoś tam jest, Martoflaku. Jasne włosy, pewnie jakaś odwrócona plecami blondynka. Oho! Może by ją poklepać? Blondynka jednak nachyliła się i zaczyna wymiotować, na dodatek okazuje się pijanym Bielinkiewiczem, który dolazł aż tutaj i rzyga teraz przed bramą, potem zaś odwraca się do ciebie i pyta:

- Rostku, przywieziesz mi z Ameryki Doncowa?
- Jak tyś się tu znalazł?
- Nie uwierzysz, spałem w jakimś samochodzie, to znaczy w bagażniku, a potem ktoś mnie stamtąd wyrzucił...
- A dokąd idziesz? Zaprowadź mnie do hotelu!
- Ale po co ci hotel? Chodźmy lepiej do Marty.
- Nie chcę do Marty – wzdrygnąłeś się, Martoflaku.
- Ależ nie do twojej! – roześmiał się Bielinkiewicz i wytarł rękawem pysk. – Tu, w tej bramie, mieszka Marta. To kurwa. Chodźmy do niej, napijemy się czegoś i zjemy co nieco, położymy się spać.
- Młoda? – pytasz, Martoflaku.
- To seksbomba – odpowiada Bielinkiewicz, wchodząc już po krętych, drewnianych schodach na górę. – Mieszka

na drugim piętrze. Znajdzie dla nas coś do picia. Na pewno ci się spodoba...

– Muszę iść – zniechęca rzekł Grzesiek. – Muszę was zostawić.

– I ty, Grzesiu? – zapytał Niecnota.

– A niech was... – złościła się Marta, ale wydawało się, że chce się jej płakać. – No i po co się tu pchałam? Dzieci zostawiłam i pojechałam za tym starym durniem.

– Muszę iść – mimo wszystko powtórzył Grzesiek. – Głupia sprawa, ale muszę.

– Masz jakieś sprawy do załatwienia? – zainteresował się Niecnota.

– Tak, muszę iść.

– No to spadaj, ale nie powtarzaj w nieskończoność, jak upiór, „muszę iść, muszę iść”! – zawrzał Gajski. – Kiedy człowiek coś musi zrobić, nie pyta nikogo o pozwolenie, tylko robi to, co musi. Chcesz iść, to idź. Nie rzucę za tobą kamieniem. Ale, błagam, nie stój tak i nie miel wciąż „muszę iść”. Bo zaczynam podejrzewać, że tak naprawdę nigdzie nie musisz iść.

– Ale ja muszę iść – jeszcze raz rozbawił wszystkich „upiór” Chromolski i jednak poszedł...

Przeciął rynek, na którym trwały spazmy święta w rodzaju etiud akrobatycznych i przeciągania liny, lecz zanim skręcił w dawną ulicę Sakramentek, zajrzał do wielobarwnego namiotu, na którym widniał napis „Fabryka potworów. Realizujemy marzenia”. Stało się tak dlatego, że zapragnął odmiany.

W namiocie ujrzał kilkoro chłopców i dziewcząt, poważnie urodziwych, którzy świadczyli wszelakie usługi.

– Proszę mnie ostrzyc – powiedział Grzesiek, sadowiąc się w fotelu przed lustrem.

– Czy chce pan ostrzyc się po kozacku, z oseledcem? – zapytała dziewczyna w spódniczce tak kusej, że wydawała się zupełnie goła.

– Tak, koniecznie oseledec.

Zaczęła go strzyc, pozostawiając na głowie to osławione czarne pasmo; początkowo nożyczkami, potem maszynką,

w końcu goliła mu brzytwą czaszkę, która lśniła coraz bardziej, ale czarne pasmo, teraz już naprawdę oseledec, pozostało nietknięte.

– Do twarzy ci – powiedziała dziewczyna. – Ja na twoim miejscu tylko tak bym się strzygła.

– Tak, oczywiście – odparł Grzesiek.

– Twoja głowa ma piękny kształt – kontynuowała.

– Oseledec i wąsy sprawiają, że stajesz się jakiś taki niewykły i niecodzienny.

– Tak, wiem.

– Jesteś prawdziwym kozackim typem – ciągnęła. – Pewnie masz bardzo czyste geny. To nic, że mówię na „ty”?

– W porządku.

– Jesteś taki małomówny. Prawdziwi kozacy byli chyba tacy, jak ty. Masz ciemne oczy, nos cienki i długi, ogorzałą szczupłą twarz. Przypominasz Bohuna. Albo młodego Mazepę. Chcesz, poprawię ci kreską oczy? Mam tusz, szminkę, cienie. Nie chcesz?

– Nie.

– A może chcesz, żeby ci zrobić masaż? Poczujesz się silny i niezwyknięty. Chodź, rozbierzesz się za parawanem i zrobię ci masaż. Wszyscy, którym robiłam, byli zadowoleni. Spodoba ci się.

– Muszę iść – powiedział Grzesiek. – Mam mało czasu.

– Jak chcesz – dziewczyna włożyła mu rękę pod koszulę i pogłaskała po piersi. – Do twarzy ci z oseledcem. Chciałabym mieć z tobą dziecko. Masz takie czyste geny.

– Dziękuję, muszę iść – powiedział Grzesiek i ruszył do wyjścia, ale zobaczył chłopaka w mundurze Strzelca Siczowego.

– Nie macie kozackiego stroju? – zapytał go Grzesiek.

– Kozacki się rozszedł. Strzelecki zresztą też – odpowiedział tamten.

– Ale ja naprawdę potrzebuję – nalegał Grzesiek.

– Możesz się ubrać w ten, który mam na sobie. Jutro mi oddasz. A ja na razie pochodzę w twoim.

Grzesiek z wdzięcznością przytaknął i od razu zaczął się przebierać. Buty wojskowe, trenecz, spodnie, dwa paski.

– Tylko czapki mazepynki nie mam, przepraszam – powiedział chłopak. – Ale masz twarzowy osełdec, nie potrzebujesz mazepynki.

W ciągu kilku minut stali się zupełnie inni – Grześ w mundurze oficera Ukraińskiej Galicyjskiej Armii i tamten chłopak w jego dżinsowych szmatach.

– Przyjdź jutro – powiedział chłopak na pożegnanie.

– Przyjdź, będę czekała – pomachała mu ręką dziewczyna z gołymi nogami.

– Dziękuję, muszę iść – rozłożył ręce Grzesiek i wyszedł z namiotu „Fabryka potworów. Realizujemy marzenia”.

Teraz powinienem wszystko odnaleźć. Tyle razy słyszałem od starego, znam na pamięć jego słowa. Muszę tam być dziś w nocy.

Dawna ulica Sakramentek przylega do rynku, więc jest na niej tak samo gwarnie i wszędzie wybuchają odpryski święta. Ale tam dalej są ciemne i martwe ulice i place, głucho podwórza, kręte schody piwnic, zabite deskami okna. Jeżeli nie dochodząc do końca ulicy Sakramentek skrócić w prawo, to znajdę się na dawnym placu Zmartwychwstania, na którym stoi drewniana cerkiewka. Można ją obejść z dwóch stron i, jeśli niczego nie pokręciłem, to właśnie z placu Zmartwychwstania biegnie droga w kierunku Sioła obok cmentarza i kaplicy przydrożnej.

Do siedemnastego roku życia nawet nie wiedziałem, że stary tu się urodził i wychował. Domyślałem się, że przeszłość kryje jakąś tajemnicę, doskonale rozumiałem, że nas wywieziono, bo Ukraińcy nie rodzą się ot tak sobie w Karagandzie, ale szczegóły niespecjalnie mnie interesowały. Dopiero po śmierci starego zaskoczyłem.

„Wiesz, Grzesiu, jest tam cmentarz i kapliczka nieopodal, pochowano tam trochę naszych z Sioła, ale niewielu, bo Sioło miało własny cmentarz, własną kaplicę i cerkiew. Słyszałem, że śladu po tym nie zostało, tak jakby nikt nigdy tam nie mieszkał. Uroczysko «Sioło» koło Czortopola – i tyle. Wszystko spalili, wiesz?”.

Wszystko spalili, spalili wszystko, spalili wszystko, wszystkich wymordowali, wszystko pożarli, wszystko zniszczyli, wszystko zabrali, wszystko zmieszali.

Skoro minąłem już cmentarz, to następnym drogowym powinien być tartak na rogu dawnej Cichej i Poniatowskiego. To już chyba przedmieścia Czortopola. Tu zaczyna się ścieżka, którą można dotrzeć do Sioła. Ścieżka doprowadzi do kamiennego mostku nad Rzeczką.

Wychowywaliśmy się, jak kto mógł. Potem, kiedy przenieśliśmy się na Donbas, wszyscy twierdzili, że mówimy po polsku. Nie rozumieli połowy naszych słów. Stary nie mówił mi, że się tu urodził. Chciał jakoś ukryć to, co nie może powrócić.

„Tak, że, Grzesiu, jak tylko zobaczysz tartak, skręcisz ścieżką w górę. Tam w tartaku pracował mój stryjek, ten młodszy. Był tylko o dwa lata starszy ode mnie, więc nie nazywałem go stryjkiem. Pracował jako technik. Nie znasz go i nawet nie możesz go znać. Kochał glinę. Robił gliniane świstawki, koniki, jelonki. Tylko pamiętaj – za tartakiem w górę. Jak zapomnisz i pójdziesz prosto, to wyjdiesz nie na Sioło, a na Krasnystaw. Stamtąd też wielu wywieziono, ale nie wszystkich, nie tak, jak z naszej wsi”.

Nie wszystkich wywieźli, trochę nas zostało, trochę nas zostało, nie wszystko spalili, nie wszystko zabrali, nie wszystkich zagryźli, lubili nas, pomogli nam.

Jasne, że się nie pomylę, pójdę w górę, ścieżka jest taka sama, jak czterdzieści czy też sto lat temu, już słychać szum Rzeki, najczystsza woda w Europie, żadnych zakładów przemysłowych, wspinam się coraz wyżej, jeśli stąd obejrzeć się za siebie, na Czortopole, to będzie ono wyglądać jak na starej rycinie, przeklęte psiska, no i czego one tak szczekają, zresztą, cała okolica o tej porze do nich należy, mają prawo, to wspaniałe zwierzaki, niech sobie ujadają.

„Wyganiaли nas za pomocą psów. Mieli z dziesięć złych psów. Do samej stacji biegły z obydwu stron i wściekle ujadły. Konie ze strachu pędziły jak oszalałe”.

Nogi mam nienawykłe do wojskowych butów. Idę zaledwie może z godzinę, a już obtarłem sobie skórę, pewnie do krwi. Jeśli by teraz poszczuto mnie psami, nie zdołałbym przed nimi uciec. Broniłbym się przed nimi po prostu nogami, waliłbym butami, kopałbym w pysk, w brzuch.

„Wszystkie miały czarne podniebienia. To bardzo złe psy. W żaden sposób nie można ich ugłaskać. Jedno, co potrafią, to rozerwać na strzępy”.

Rzeczka pode mną szumi jak Niagara. A jeśli w ciągu tych czterdziestu lat jakiś ciołek zniszczył tę kładkę? Jak się wtedy dostanę do Siola? Trzeba będzie w bród przejść Rzeczkę. To nie takie trudne, woda jest właściwie płytka, ale rwąca jak cholera, mogłaby chyba zbić z nóg. Psiska biegną za mną, okropnie ujadają, pewnie mają czarne podniebienia. Co za głupek spuszcza w nocy takie wściekle zwierzaki? Mogą przecież gardło komu przegryźć, rozerwać na kawałki. Odgryźć kutasa i jaja, zdarzają się takie rzeczy. Lubili znęcać się nad organami płciowymi. Inaczej trudno byłoby zmusić twardych i hardych chłopaków do płaczu. A dla nich najważniejsze było zmusić ich do płaczu, tak myślę.

Te psy naprawdę mnie gonią. Ale nie dostaną mnie, jestem już pośrodku Rzeczki, woda zimna, czuję nawet przez buty, trudno utrzymać równowagę, ale wy, sucze dzieci, możecie się teraz udusić swoim jazgotem, tam, na tamtym brzegu, od wody wara, szakale, hieny, pomiesiłbym was butami tak, że kiszki by wam powyłaziły, ludożercy, weterani NKWD, emerytowani funkcjonariusze, ujadajcie sobie na zdrowie, szybciej zdechniecie.

Byleby tylko przejść na drugi brzeg, to wszystko, czego oczekuję od tego świata. Z trudem utrzymuję równowagę, każdy krok robię powoli, staję na jednej nodze jak czapla i długo się zastanawiam, gdzie by tu umieścić drugą. Za plecami oszalały z wściekłości obydwie bestie – macie! Odwracam się do nich i pokazuję im taaakiego! A jak będziecie natrętne, to doczekacie się ode mnie kamienia z dna rzeki.

Kamienie na brzegu są ostre, można łatwo podrzeć buty z rekwizytorni i co wtedy oddam temu typowi z pomarańczowego namiotu? Wspiąć się na brzeg jest dziś moim podstawowym obowiązkiem, bo po jakie lichy jechałbym do tej miejsciny? Żeby deklamować wiersze? Wódę pić? Tańczyć na rynku?

Wchodzę w las, co prawda niezbyt gęsty, oczy tak już przywykły do ciemności, że wydają się sobie ogromnym

kocurem, nocnym zwierzęciem tego lasu. Pewnie oczy mi świecą. W taką noc dobrze jest siedzieć gdzieś pod krzakiem i nasłuchiwać pohukiwania sowy. Albo wycia wilków. Albo strzałów.

„Przez dwa lata, no, może trochę mniej, półtora roku, wozili tą drogą ludzi z czortopolskiego więzienia. Tam, Grzesiu, Bóg jeden świadkiem, pod każdym drzewem spoczywają zabici. Nie ma drugiego takiego lasu na całym świecie. Nie wolno nam było chodzić tam, wszystko ogrodzili, potem postawili wartę, żeby nawet krowa tam nie weszła. Parę krów zabili, i nikt nie mógł nic powiedzieć, bo zasnąłby w tym lesie na wieki. Najpierw myśleliśmy, że czegoś tam szukają albo bunkry stawiają. A w nocy, jak tylko usłyszysz warkot silników od starej drogi, schowaj się lepiej pod koc i udawaj, że nic nie słyszysz, bo jada, jada...”.

Las fosforyzuje, rozświetlony, biały, próchnieje, rozpada się, od spodu rozsadzają go trupy. Wystarczy, że je zawołam i wstaną. Hej, wstańcie, wy, w bieli, rozświećcie las! Stoją rzędem po obu stronach Rzeczki, wyciągają do mnie ręce, mówią coś. Właściwie nie ma ich. Pochowani zostali na cmentarzu jeszcze w czterdziestym pierwszym, z modlitwami i śpiewami, na zbiorowej mogile postawiono ogromny krzyż z wieńcem z drutu kolczastego, „dlatego nasi co do jednego poszli potem do partyzantki, by nie dostać się żywcem w ich ręce”.

Ścieżka wspina się coraz bardziej stromo, nogi aż skowyczą. Co będzie tam, za lasem, prócz opustoszałej łąki i nieba nad nią? Czyżby nie pozostał nawet komin, ani krokiew, ani krzyż? Czyżbym miał zginąć na tym pustkowiu, ja, ostatni mieszkaniec sioła, krew z krwi, kość z kości? Wstańcie i pójďte wszyscy za mną, hej, nie stójcie tam koło ścieżki, chodźcie, urządzimy Święto Zmartwychwstającego Ducha, pomodlimy się, wypijemy, zaśpiewamy, bo chyba tym razem nie przyjadą starą drogą straszliwe pojazdy z czerwonymi reflektorami. Ruszają, idą za mną pospiesznie, czuję ich oddech na plecach, szybciej, szybciej, las jest niewielki, wyjdziemy stąd szybciej niż biegnie myśl i wrócimy do domu. Mkną za mną na wyścigi, ale ja i tak będę pierwszy, przecież to ja was zbudziłem, jedyny żywy

wśród was, martwych, pozwólcie mi być pierwszym, bo inaczej po jakie лихо bym tu do was przyjechał?

Wychodzę z lasu, rozwidnia się już, serce wali jak zatopiony w piersiach dzwon, „najwyżej stała cerkiew, za nią w pobliżu lasu był cmentarz, niżej trochę, na zboczach, w kierunku starej drogi, leżały chaty z przyległymi do nich ogrodami, sadami, niewiele ich było, gdzieś koło czternastu, bo Sioło to tylko kolonia, ale naszych chłopców nikt nie zaczepiał, bo nawet w Czortopolu na rynku każdemu mogli dać łupnia, na zabawę chodzili z nożami, żenili się z obcymi dziewczętami, a twój dziadek, choć długo nauczał ich pokory, stateczności i miłości bliźniego, niczego nie osiągnął, pozostało mu jedynie zaślubiać ich z obcymi dziewczętami”.

Na Donbasie tak samo chodziliśmy z nożami. Kiedyś, po wieczorze z okazji ukończenia szkoły, pobiliśmy się z tymi ze szkoły górniczej, ktoś dźgnął mnie nożem pod żebro, ale niezbyt głęboko, w ciągu dwóch tygodni doszedłem do siebie, zacząłem nosić się z wierszami, powstawały jakoś tak same z siebie, ale wtedy nie podejrzewałem nawet, że gdy wdałem się w bójkę, by dostać nożem, całe Sioło stanęło za mną murem, nie wiedziałem o nim wtedy, a ono uratowało mnie wówczas od ciosu nożem, mnie, swojego najmłodszego syna.

Dlaczego zatrzymaliście się na skraju lasu i nie możecie zrobić dalej ani kroku? Mnie tak samo jak wam wiruje wszystko przed oczami po tym szaleńczym biegu, ale to, co widzę przed sobą, sprawia, że niemal tracę równowagę. Co to za ogromna budowla bez dachu, z czarnymi dziurami, te wykopy, te góry cegieł, rury, drewniane ramy okienne, stopy dachówki? Po co tyle wanien, muszli klozetowych i umywalek, tyle piasku, po co te dźwigi i betoniarki, przecież nikt tu nie mieszka, wygnano ich stąd za pomocą rozjuszonych psów aż na stację kolejową i tam załadowano do bydłych wagonów.

„Centr międunarodnogo turizma «Guculozka». Ispołnitiel rabot – triest Czortopolstroj”* przeczytał Grzesiek

* Centrum turystyki międzynarodowej „Huculka”. Wykonawca robót „Czortopolbud”.

na tablicy informacyjnej przed placem budowy. „Budowę rozpoczęto w 1947 roku”, pomyślał. Wymarzone miejsce, bajkowy krajobraz, pod bokiem las z mnóstwem poziomek, niezwykle górskie powietrze, nasyczone aromatem traw i zapachem smreków, w Rzeczce o wodzie najczystszej w Europie są pstrągi. Do dyspozycji państwa mamy komfortowe pokoje z łazienką, telewizorem, wideotelefonem, restaurację, bar, night club, kasyno, basen kąpielowy, saunę, dyskotekę, a wszystko to za niewygórowaną sumę tysiąca dolarów za dobę, po prostu śmieszne pieniądze. Doświadczeni kucharze przygotowują dla was potrawy naszej kuchni narodowej, a doświadczone młode prostytutki zrobią wam dobrze. W programie mamy także konne wyprawy na przełęcz i degustację win. Kapela ludowa „Złota drumla” wykona dla was melodie huculskie, a młody poeta Grzesiek Chromolski z kozackim oseledcem będzie recytował swoje najnowsze wiersze. Nasza gościnna ziemia czeka na was, zapraszamy!

Grzesiek nagle poczuł, jak ziemia rozstępuje mu się pod nogami. Spadał w jakąś jeszcze większą ciemność, ale nie krzyknął nawet, bo byłaby to naturalna śmierć, właśnie tutaj, pomiędzy tymi stosami cegieł, na budowie bajecznego centrum turystyki, lec u podwalin, zasnąć wraz z trawą rodzimego Sioła jako najmłodszy jego mieszkaniec, rówieśnik tych, którzy chadzali z nożami do lasu i na rynek w Czortopolu. Podniósł się jednak, cały w piasku i glinie. Nad sobą ujrzał to samo niebo. Wykop okazał się niezbyt głęboki, więc nawet nic sobie nie zrobił. Było ciemno, ale mimo to zobaczył obok siebie, na dnie, coś jakby szmaty. Schylił się, przyświecił sobie zapałką, lecz znowu nie mógł nawet krzyknąć, choć przed nim leżał trup, świeży, jeszcze ciepły, był to facet z przestrzeloną głową, jakoś dziwnie znajomy, zapewne z powodu braku złotego łańcuszka na krótkiej, tłustej szyi. Zbiorku wierszy Niecnoty także nie było. Jak rabować, to rabować.

Zachciało mu się palić. Potarł zapałką o podeszwę buta zabitego – dokładnie tak, jak amerykański aktor Mickey Rourke z filmu „Serce anioła”. Kiedy już zaciągnął się parę razy, zaczął wyłazić z wykopu. Oseledec spadał mu na oczy. Noc sięgała apogeum.

... Mały przypętał się gdzieś koło drugiej, na dodatek nie sam, a z jakimś kudłaczem, mówił, że to wielki poeta, ale nie było już miejsca, bo w dużym pokoju zabawiali się, więc pościeliłam mu na swoim łóżku, a on wciąż się dopytywał, czy nie jestem dolarowa, bo ma aż dziesięć dolarów i może mi zapłacić za noc, „ale wyobrażałem sobie panią inaczej”, komedia, a jak mogłeś sobie mnie wyobrażać, motylem byłam, ale utylam. Mały mrugnął do mnie, żebym brała te dziesięć dolarów, którymi ten brodacz wymachiwał mi przed nosem, ale zrobiło mi się go szkoda, pijany chłop do reszty głupieje, no i co z tego, że poeta, żadna różnica, tymczasem Mały poszedł do kuchni i, jak zwykle, zaczął żreć, my siedzieliśmy w pokoju, brodacz chciał czytać swoje wiersze, ale nic nie pamiętał, strasznie się śmiał, mało się nie zeszczął ze śmiechu, aż czkawki dostał, „wiem, proszę pani, że ma pani dla mnie coś do picia, Bielinkiewicz mi mówił”, patrzcie go, panią mnie nazywa, ja mu na to, że u nas panów już dawno nie ma, „no to będę mówił «kochana»”, komedia nie z tej ziemi, mam dorosłego syna, w wojsku służy, „pani raczy mieć dorosłego syna?”, pyta, i jeszcze bardziej trzęsie się ze śmiechu, „a ja nie dałbym pani więcej niż dwadzieścia pięć lat”, bujać to las, ale nie nas, ledwo językiem obraca, a wciąż zalewa, nalałam mu sto pięćdziesiąt, żeby się zamknął, ale on jeszcze bardziej się rozgadał, „no to kiedy będzie słodka nagroda”, wyszłam do kuchni, no tak, wiedziałam, że tak będzie, Mały wrębał prawie pół kilo kiełbasy, a ja na Zielone Świąta chowałam, myślałam, że przyjedzie towarzysz Władysław, „nie martw się, przywiozę ci jeszcze”, powiedział Mały, trzeba mu będzie jutro przypomnieć, bo dziś nie takie rzeczy jeszcze obiecuje, a ten brodacz zwałił się w skarpetkach na łóżko i prosił, żebym go rozebrała, „ta usługa wchodzi w sumę dziesięciu dolarów”, a idźże ty ze swoimi dolarami, mało nie nawrzeszczałam na niego, ale dałam sobie na wstrzymanie, zmilczałam, bo przecie pijany i głupi, no i młody jeszcze, ściągnęłam mu te skarpetki, a on wsunął mi te dziesięć dolarów za stanik, „to prezydent Hamilton”, powiedział, cyrk na kółkach, pocałował w rękę, czegoś takiego jeszcze nie widziałam, a on ni z gruszki, ni z pietruszki za-

czał płakać i powiedział, że jest tak nieszczęśliwy, jak nikt, pożałowałam go i poszłam się umyć, a jemu puściłam Rotaru, zgasiłam światło i wyszłam do łazienki, ale tam siedział Mały i rzygał, dałam mu alkaprim i wyrzuciłam, poszedł do pokoju gościnnego, ale nie było wolnych panienek, więc znowu przypchał się do mnie, „tylko ci plecy wytrę”, przyczepił się jak rzep psiego ogona, zaczął się rozbierać, zdzieliłam go po pysku mokrym ręcznikiem, ty paskudo jedna, ja z twoją mamą do jednej szkoły chodziłam, mój syn jest tylko pięć lat młodszy od ciebie, służy pod Moskwą w brygadach wojsk inżynieryjnych, pisze, że nie wytrzyma i ucieknie, a tyś się ciepłutko urządził, kielbasę mi zżerasz, jeszcze czego mu się zachciewa, też w ramach dziesięciu dolarów, czy co, trzask go po pysku, trzask, trzask!, podniósł w górę ręce, patrzę, a jemu krew z nosa leci, pożałowałam go, a on znowu swoje, ten brodac, mówi, na pewno już śpi, „położymy się we trójkę, jak nie masz więcej miejsca, nigdy nie próbowałaś we trójkę?“, coś takiego widziałam tylko na wideo, ale i tak nie chciałam, bo wstyd, wyrzuciłam go spać do kuchni, można się na podłodze położyć, masz tu koc i poduszkę, pościel se na podłodze, dość już, mam tego powyżej uszu, uspokójcie się w końcu, trzecia godzina prawie, a wy się wydzieracie, jakby was kto ze skóry obdzierał, tu ludziska odpoczywają, jeden znany poeta, weszłam do siebie do pokoju, brodac już spał na moim łóżku, jak przedtem, ubrany, tyle że bez skarpetek, zdjęłam mu ostrożnie sweter i koszulę, wyłączyłam muzykę, ściągnęłam z niego spodnie, pomrukiwał tylko przez sen jak dziecko, „łuna, łuna, cwiety, cwiety“, strasznie śmieszny, ma gdzieś koło trzydziestki, może trochę więcej, w dowód mu nie zaglądałam, mam swoje problemy, a ty swoje, ale ty się upiłeś, leżysz i ani rusz, tylko mruczysz jak kocur, gadasz coś niezrozumiałego, ja wsłuchuję się, a ten oczy otworzył, patrzy na mnie, „masz pewnie nie mniej niż czterdzieści“, trzydzieści osiem, mówię, „oddech masz czterdziestolatki, młode dziewczyny inaczej pachną, zupełnie inaczej, wiem dobrze“, dziękuję ci bardzo, kochaniutki, za takie komplementy, wyrzucić go czy co, ze mną sam Władysław śpi już dwudziesty pierwszy rok, a nigdy

czegoś takiego nie powiedział, a on swoje, „w ciele człowieka otwory powyżej pępka są czyste, a te poniżej – nieczyste, a młoda dziewczyna wszystkie otwory ma czyste”, no to jazda stąd, idź se poszukaj młodej z czystymi otworami i daj mi spokój, po nocy tu przyłazi i jeszcze przebiera, jak ostatnia zdzira, nic mu się nie podoba, gdybyś znał mnie dwadzieścia lat temu, chłopaki za mną szalały, na zabawie do krwi się bili, a Władysław dawał mi pończochy zagraniczne, czekoladki i kwiaty kupował, samochodem do restauracji woził, nie miałam gdzie mieszkać, to dostałam od niego mieszkanie, tak się we mnie kochali, a ty coś bredzisz o czystych i nieczystych, aż mi się na płacz zebrało, ledwo się powstrzymałam, po cholere mi taki poeta zasrany, mam swoją godność, a on wtedy powiedział, że nie jestem taka, jak inne, że mam złote serce, po rękach zaczął całować, cyrk na kółkach, dopiero wtedy się rozplakałam, a on zwałił się na mnie, nie wiadomo skąd wziął siłę, a ja myślałam, że jest do niczego, ale zrobił swoje całkiem nieźle, nawet nie poczułam, jak mi wetknął, „a co, nie wierzyłaś, że młoda dziewczyna ma czyste otwory”, dopiero potem naprawdę zasnął, położył mi brodę na brzuchu, włosy całkiem mokre, zmęczył się jak kowal, nie powiedział już ani słowa, śpij, kochaniutki, śpij, do rana daleko, broda wygląda jak przyklejona i w ogóle do dzieciaka podobny...

– Mam już dość tego waszego święta – powiedziała Marta, ale nie ta, z którą Martoflak spał tej nocy, a żona Martoflaka. – Idę do hotelu. Jutro wstaję wcześniej i jadę do domu.

– Po co? – zapytał ją Niecnota. – Dopiero jutro zacznie się prawdziwe święto.

– Dzieci zostały w domu – oznajmiła Marta.

– Przecież są z rodzicami. Nic im nie będzie – zapewnił Gajski.

– Rozumiem, po prostu obraziłaś się na Rostka – domyślił się Niecnota.

– Stary dureń, baran! – nie wytrzymała Marta.

– Dobrze. Idziemy do hotelu. Ale w tym celu musimy odnaleźć naszego czortopolskiego przyjaciela. Śpi gdzieś tam w chryslerze – rozsądził Niecnota.

– Wiem doskonale i bez niego, gdzie jest ten hotel. Byłam tu ze sto razy.

– No to idziemy – wziął ją pod rękę Gajski.

– Dobrze, ale przecież nie możemy zostawić chłopaka śpiącego w samochodzie – nie ustępował Niecnota.

– A cóż mu się może stać? I do czego jest nam potrzebny? – Gajski wykrzywił się z pogardą. – Stary, widzisz problem tam, gdzie go nie ma. Bielinkiewicz śpi sobie smacznie w luksusowym aucie. A my powinniśmy spać w hotelu. I tyle. Idziemy.

– Mógł się tam udusić – przypuścił Niecnota.

– W takim razie tym bardziej nie ma sensu go stamtąd wyciągać. Wyobraź sobie, że otwierasz bagażnik, a tam – trup Bielinkiewicza. Zepsuje ci tylko humor – przekonywał Gajski.

– Możecie iść do hotelu we dwojkę – nie odpuszczał Niecnota. – A ja poszukam Bielinkiewicza.

– Świetna myśl! – pochwalił Gajski. – To spadaj, szukaj go, jeżeli ci od nas miłszy. Tak sobie myślę, że umyślnie chcesz nas zostawić, bo masz nas dość. Mam nadzieję, że dobrze zapamiętałeś miejsce, gdzie stoi chrysler-imperial?

– Niedaleko stąd – kiwnął głową Niecnota.

– Tu wszystko jest blisko – zgodził się z nim Gaj.

– Słuchaj, zupełnie możliwe, że to gej. Bądź ostrożny!

– Przynajmniej raz w życiu i tego trzeba spróbować – uspokoił go Niecnota, pomachał ręką i zniknął w świątecznym tłumie.

Święto definitywnie przygasało, fantazja kuglarzy i trefnisiów nieubłaganie się wyczerpywała, na rynku nie działo się prawie nic ciekawego: jakiś fajerwerk, pantomima z Aniołami i Błaznami, jakieś dziewczęta chodziły na rękach, ale potem okazało się, że to były nogi. Drażał w czerwonym katowskim odzieniu, z siekierą za pasem, zapraszał wszystkich na pieczone kiełbaski, jak zapewniał, „własnego wyrobu”. Niecnota kupił u niego jedną, ale wydała mu się nieco słodkawa w smaku, potem poszedł prosto pod znany już pomnik, za którym miało stać dziwne przedwojenne auto.

Ale chryslera nie było. Jak się okazało z relacji naocznych świadków, pół godziny temu czarna limuzyna uniosła się nad rynkiem i po kilku okrążeniach wokół wieży ratusza, rozplynęła się w nocnym niebie Czortopola. Jurek dojrzał natomiast wśród tłumu dobrodzieja z kamerą wideo, w kaszkiecie w kratkę, w okularach i z siwą bródką, tym razem ubranego w elegancki czarny garnitur w złote paski.

– Panie Popiel – przywitał go Niecnota. – A gdzie pański wspaniały chrysler?

– O, pan Chromolski, przepraszam, pan Niecnota, jakże się cieszę, że pana widzę – zamiast odpowiedzi rzekł doktor Popiel.

– Chciałbym wiedzieć, czy nie zaglądał pan do bagażnika swojego auta – nie zadowolił się odpowiedzią Jurek.

– Korzystam ze znakomitej okazji zrobienia sobie pamiątki z tego niezapomnianego święta – odpowiedział doktor Popiel.

– Wie pan, w pańskim bagażniku miał być jeden chłopak – ciągnął dalej swoje Niecnota.

– Ale wolę japońskie kasety, ponieważ niemieckie nie są odpowiedniej jakości – doktor podtrzymywał rozmowę.

– A japońskie kasety też można u was kupić? – złożył broń Jurek.

– No cóż, nie mogłem nie wyrzucić go z bagażnika, bo nie lubię tego – zaczął wyjaśniać sprawę Szwajcar.

– A ile u was kosztuje na przykład taka kamera wideo? – kontynuował rozmowę Jurek.

– Wie pan, poszedł sobie zaraz potem, jak go wyrzuciłem. Nie wiem, gdzie teraz może być. Pewno gdzieś wymiotuje – odpowiedział doktor Popiel.

– A nie wie pan, gdzie tu jest hotel?

– Nie znam nowych dzielnic, tym bardziej, że zatrzymałem się u rodziny. Mam przyjemność zaprosić pana do nich, właśnie zaczyna się u nich wielkie nocne przyjęcie.

Niecnota zastanawiał się chwilę.

– A to wypada? – zawahał się.

– Obiecałem im, że przyprowadzę jakiegoś sławnego ukraińskiego poetę, najprawdopodobniej pana, panie Nie-

cnota. Czeka ją na nas, także serdecznie zapraszam – i doktor wskazał ruchem głowy kierunek, w którym mają się udać.

– A nie będą mnie zmuszać do recytowania wierszy? – znowu zawahał się Niecnota, kiedy już ruszyli.

– Nie interesują ich pańskie wiersze – rozwiął jego wątpliwości doktor. – Interesuje ich to, że jest pan sławnym poetą.

– Aha – kiwnął głową ze zrozumieniem Niecnota.

Skręcili w dawną ulicę Jana Chrzciciela i przez jakiś czas szli w milczeniu. Była to pora zamkniętych bram i zgaszonych latarni. W budynkach też panowały ciemności, tylko gdzieś daleko ktoś grał ledwo dosłyszalne pasaże na klawesynie. Na każdym kroku napotykali kosze na śmieci i koty, a może szczury, jednym słowem jakieś zwierzęta, które przebiegały im drogę i chowały się w piwnicach z wybitymi oknami. Jurek mimowolnie rozkoszował się starą architekturą i myślał, o co by tu zapytać Popiela. W końcu odważył się:

– Panie Popiel, czy pańskie auto naprawdę uniosło się nad rynkiem?

Doktor spojrzał na niego z uwagą.

– Moje auto stoi zaparkowane, od kiedy tu przyjechałem.

– W takim razie w jaki sposób ten chłopak mógł się znaleźć w bagażniku? – nie chciał się odczepić Niecnota.

– Wie pan – z lekkim rozdrażnieniem w głosie odparł doktor – to nie jest taka prosta sprawa. Czasami trudno mi zrozumieć, co się tu u was dzieje. Jestem przecież obywatelem Szwajcarii i nie wszystko rozumiem w waszym życiu. Należymy do różnych systemów społecznych, na dodatek nasz ustrój jest raczej konfederacją, a u was panuje unitaryzm. Różne są gusta.

Jurek postanowił porzucić temat limuzyny i Bielinkiewicza, ponieważ doktora te pytania wyraźnie drażniły i zmuszały do gadania jakichś głupot w odpowiedzi. Dlatego po namyśle Niecnota zaczerpnął z głębin swego intelektu nowe pytanie:

– A czym się różni ustrój konfederacyjny od federacyjnego?

– Nie mogę panu odpowiedzieć na to pytanie, ponieważ polityka zupełnie mnie nie interesuje – wyjaśnił uprzejmie doktor.

– Panie Popiel, rozmowa z panem jest wielką przyjemnością. Daleko jeszcze?

– To nie od nas zależy – niedorzecznie odparł doktor.

„Zdaje się, że ma lekkiego bzika – skonstatował Niecnota. Psychiatrom zdarzają się takie rzeczy. A może jest po prostu głuchy i nie dosłyszał mojego pytania?”

Jakkolwiek rzecz by się miała, Jurek stracił wszelką ochotę do konwersacji z doktorem – schizofrenikiem.

Niebawem jednak, kiedy skręcili z dawnej ulicy św. Jana Chrzyciela w dawną ulicę Króla Danyły, doktor sam się do niego odezwał:

– Muszę pana poprosić, żeby pan był w towarzystwie maksymalnie grzeczny, proszę się nie opierać łokciami o stół, nie mlaskać, nie pociągać nosem, proszę jeść nożem i widelcem, używać serwetek, nie bekać i, przepraszam za wyrażenie, nie pierdzić. Zbiera się nadzwyczaj doborowe towarzystwo i byłoby mi bardzo przykro, gdyby zachował się pan nietaktownie.

– A będą tam jakieś panienki, żeby poflirtować trochę? – nachalnie zapytał Niecnota, którego nieco ubodły uwagi doktora na temat dobrego wychowania.

– À propos, nie ma tam gdzie przenocować, więc niech pan na nic nie liczy – zupełnie bez sensu odparł doktor.

– Nie liczyć na nocleg czy na dziewczyny? – badał sprawę Jurek.

– Proszę liczyć wyłącznie na siebie – odpowiedział mu Szwajcar, po czym, zacierając ręce z zadowoleniem, rzekł: – Bardzo dobrze się złożyło. Zdążyliśmy omówić wszystko w szczegółach. Proszę zastukać do tych drzwi. Jesteśmy na miejscu.

Stali przed bardzo starym budynkiem, który trochę przypominał miniaturową fortecę. Gdyby Jurek choć trochę znał Czortopole, byłby się domyślił, że to sławna Willa z Gryfonami, do której codziennie zacierają tłumy turystów. Ale Jurek nie wiedział o tym, więc śmiało zastukał do drzwi. Otworzył mu sługa w liberii ze złotymi naszywkami, o tak

tępych wyrazie twarzy, że od razu chciało się go zdzielić między oczy. Tę chęć Niecnoty dodatkowo wzmagало to, że przypominał mu swoim wyglądem kogoś bardzo wysoko postawionego, ale nie mógł sobie przypomnieć kogo. Sługa poprowadził ich na górę drewnianymi schodami, przedtem jednak bardzo uprzejmie poprosił doktora o jego kamerę wideo i schował ją w jakiejś niszy. Schody, podobnie jak i cały budynek, oświetlały jedynie świece, ale było ich naprawdę mnóstwo. Z góry dobiegała jakaś słodka muzyka na tle nieco przytłumionych uprzejmych rozmów.

Między parterem a pierwszym piętrzem była antresola, dalej zaś drzwi, na pierwszy rzut oka nie do ruszenia. Na miejscu klamki umieszczono mordkę lwa. Sługa naciąnął lwi nos i drzwi lekko się uchyliły.

– Panie Niecnota – zwrócił się do Jurka doktor. – Proszę wejść do garderoby i wybrać sobie odpowiedni garnitur. Pana wygląd jest tu nie do przyjęcia. Zaczekam tutaj.

Jurek wszedł do pokoju z szafami i lustrami. Oczekiwał zupełnie prawdopodobnego w takiej sytuacji noża w plecy, ale nic takiego nie nastąpiło. Szafy były pełne męskich ubrań, co prawda wszystkie były takie same: czarny frak i czarne spodnie, kamizelka, biała koszula, muszka, pod każdym wieszakiem stały lakierki o ostrych czubkach. Rzeczy te różniły się wyłącznie rozmiarami. Jurek zaczął przebierać się pospiesznie, oglądając się przy tym na uchylone drzwi i lustro obok nich, w którym widział siebie tylko w slipach, przez co sam sobie wydawał się jeszcze bardziej bezbronny. Lecz dobranie odpowiedniego ubrania okazało się nie takie łatwe. Jeżeli pasował frak, to spodnie się nie nadawały lub koszula trzeszczała w szwach, czy też odwrotnie. Czas mijał, zdawało się, że Jurek przymierzył już połowę wiszącej w garderobie odzieży, ale nie znalazł dla siebie niczego odpowiedniego. Zaczynał się denerwować i rozglądać, czy nie ma w tym pokoiku jakiegoś okna, przez które można byłoby dać drapaką i rozwiązać w taki sposób ten idiotyczny problem, ale w tym momencie zauważył na jednym z wieszaków ubranie z niewielką karteczką przyczepioną agrafką do klapy fraka, na której przeczytał: „Dla pana J. Niecnoty”.

Ubranie leżało na nim jak ulał, znalezione pod wieszakiem lakierki nie uwierały. Po chwili Jurek obejrzał się w lustrze ze wszystkich stron. Ujrzał w nim odbicie, jakiego jeszcze nigdy nie widział, to jest nienaganne.

– Trochę za długo pan się ubierał – z lekkim wyrzutem w głosie rzekł Popiel. – Pozwoliłem słudze odejść. Zmęczył się dziś bardzo. Niech sobie trochę odpocznie.

– Czy on stale tu pracuje? – zapytał Jurek, gdy znowu znaleźli się na schodach i zaczęli wchodzić na górę.

– W ogóle to nie. Jest pierwszym sekretarzem w powiecie. Ale poprosiliśmy go o to – wyjaśnił nieco sytuację doktor. Na pierwszym piętrze drzwi okazały się wyższe i znacznie bardziej masywne, ale sprawę upraszczało to, że były otwarte na oścież, więc Niecnota w towarzystwie doktora przekroczył próg ogromnego pokoju, zalanego migotliwym światłem świec. Tu i ówdzie przechadzali się po salonie mężczyźni o nienagannych manierach i kobiety w wieczorowych sukniach. Bezszelestni słudzy, ubrani, jak tamten, w liberie ze złotymi naszywkami, dyskretnie roznosili szampana i oranżadę na poślaczanych okrągłych tacach. W głębi salonu Niecnota dojrzał kwartet muzyczny w surdutach z długimi połami i w przypudrowanych perukach. Muzycy stali na niewielkim podium i grali melancholijną sonatę na wiołę da gamba, wiołę de'Amour, flety i klawesyn.

– Scarlatti – orzekł Niecnota.

– Corelli – poprawił go doktor Popiel. – Ale mniejsza o to.

– Doskonały poziom – docenił Jurek. – To zapewne laureaci jakiegoś festiwalu?

– Ależ skąd, to miejscowi chłopcy – znowu rozczarował go Popiel. – Chcę pana poznać z kilkoma osobami. – Jurek dość niezdarnie wziął kielich z tacy, która właśnie przepływała obok nich i rozchlapał przy tym szampana.

– Astaroźniej – powiedział sługa i zmierzył go niezbyt przychylnym spojrzeniem. – Liezut tu wsiakije*. – I poszedł dalej.

Podeszli do niewielkiej grupki pań i panów, którzy gawędzili ze sobą uprzejmie.

* Ostrożnie! Byle kto się tu pcha!

Popiel uklonił się im lekko i rzekł:

– Chciałbym państwu przedstawić pana Niecnotę, znakomitego poetę.

Uznał swą misję za zakończoną, więc znowu się uklonił i odszedł.

– Bardzo mi przyjemnie! – ucieszył się łysawy jegośmość z monoklem. – Profesor gimnazjum Bogacki – przedstawił się.

To pewnie dyrektor miejscowej podstawówki – pomyślał Niecnota, przełożył kieliszek z prawej ręki do lewej i pocałował w rękę młodą damę, która przy tym przedstawiła się:

– Amaltea Bogacka – i pokazała nieco zajęcze przednie zębki.

Korpulentna matrona w diamentowej kolii na marmurowej szyi również uśmiechnęła się fałszywie i przedstawiła jako Klitemnestra Bogacka, prezesowa Związku Losu Kobiet.

Elegancki młody brunecik, z cieniutkim, prostym przedziałkiem pośrodku, uklonił się po wojskowemu, uderzając obcasem o obcas:

– Hrabia del Campo, awiator.

– Jurek – uścisnął mu rękę Niecnota.

– Czytałem niektóre z pańskich wierszy, panie Niecnota – oznajmił Jurkowi Bogacki. – Spodobały mi się. Jest w nich dużo przestrzeni i patriotyzmu. Myślę, że ma pan duży talent.

– Tylko bez nadmiernego zachwyty tym dekadentwem – zastrzegła pani Klitemnestra. – Nasz nieszczęsny naród potrzebuje męznego słowa wyzwolenia, a nie jakiejś bezsensownej zabawy. Kobiety oczekują od pana poematów mówiących o ich ciężkim losie.

– No, mamusiu, nie bądź taka wymagająca – znowu błysnęła zębkami panna Amaltea. – Przecież pan Niecnota jest jeszcze bardzo młody... A co pan powie, panie hrabio?

– Poezja bynajmniej mnie nie interesuje – oświadczył del Campo.

– Och, czyżby tam, w przestworzach, nie przychodziły panu na myśl jakieś boskie wersy? – uniosła brwi Amaltea.

– Kiedy jestem tam, jak pani mówi, w przestworzach, przychodzi mi na myśl jedynie to, czy mam dostatecznie dużo paliwa i czy wiatr jest sprzyjający – błysnął czarnymi oczami del Campo.

Jurek nie wytrzymał: prawie niedostrzegalnie odbiło mu się po szampanie.

Zaraz ktoś z nich wyzwie mnie na pojedynek – pomyślał, ale wszyscy udali, że niczego nie zauważyli, więc nic się nie stało.

– Jean Baptiste Lully. *Gawot* – ogłosił jeden z muzyków i znów zabrzmiała muzyka.

– Czy pan, panie poeto, był w zeszłym tygodniu na przyjęciu u Lanckorońskich? – zainteresowała się Amaltea. – Wydawało mi się, że widziałam tam pana.

– W zeszłym tygodniu wyrzucali mnie z akademika – odpowiedział Niecnota.

– To nie był pan na przyjęciu u Lanckorońskich? – dopytywała się Amaltea.

– Zdaje się, że wyraziłem się jasno.

– Szkoda – westchnęła Amaltea. – To było udane przyjęcie. Więc to nie pan recytował tam Rilkego?

– Rilkego? – upewnił się Niecnota. – Nie, nie ja. Znam na pamięć tylko Heinego. I Chołodnego.

– Szkoda – znów westchnęła Amaltea. – Był tam pewien poeta, który deklamował Rilkego.

– To nie byłem ja – powiedział Niecnota.

– Teraz już widzę, że to nie był pan, ale przedtem myślałam, że to pan deklamował Rilkego.

– Nie, to nie byłem ja, bo nie znam Rilkego na pamięć.

– Tak, oczywiście, po prostu jest pan niezwykle podobny do tego poety, który tam był.

– Raczej tak, bo nie mogłem tam być.

Hrabia, któremu najwyraźniej nie przypadł do gustu ten dialog, odwrotnie niż wdzięki panny Amaltei, znowu błysnął czarnymi oczami i sucho spytał:

– No, dobrze, poezja swoją drogą. A czym pan się trudni, panie Nieniecnoto?

– Nie jestem Nieniecnota, lecz Niecnota – zadowolili jego ciekawość Jurek.

Amaltea zaśmiała się dźwięcznie i nawet klasnęła w dłoń.

Del Campo wyraźnie spochmurniał.

– Przepraszam, muszę iść do ubikacji – oświadczył ostro i odszedł.

– Biedny Michał Scipio – pokiwała głową pani Klitemnestra. – Chyba jest szalenie zakochany – i spojrzała filuternie na córkę, potem na męża.

– Hm, hm – poprawił monokl pan Bogacki.

– Mamusiu, on jest taki prozaiczny – westchnęła Amaltea, stanęła na palcach i szepnęła Jurkowi na ucho: „Proszę wziąć mnie pod rękę i przejdziemy się”.

Ruszyli przez salon właśnie w tym momencie, kiedy muzykant ogłosił z podium:

– Christopher Willibald von Gluck. Aria Orfeusza z opery *Orfeusz i Eurydyka*.

Popłynęła słodka muzyka fletu. Jurek zaś, prowadząc pod rękę Amalteę, nastąpił niechący na nogę jakiemuś młodemu rudzielcowi, który właśnie coś podliczał na mankicie.

– Natanael Hozenduft, skóra i kości – przedstawił się młodzieniec i wręczył Jurkowi swoją wizytówkę. Widniało na niej to samo, co przed chwilą usłyszał, tyle że po niemiecku i gotykiem.

Niecnota schował wizytówkę do kieszeni i zajrzał przy okazji w dość przyjemny dla oka dekolt Amaltei.

– Jest tu jakiś wolny pokój? – zainteresował się. Lecz panna tylko zaśmiała się i pogroziła mu paluszkami.

– Może panu powiedziec, kto przybył tu dzisiaj? – zapytała z zajęczą uprzejmością.

– Właściwie to mam to gdzieś, ale niech pani mówi – z niechęcią zgodził się Jurek. Każde następne oświadczenie Amaltei napotykało na jego niedowierzające „co ty powiesz” albo na nie mniej ironiczne „oho”.

– Pana Hozendufta poznał pan przed chwilą – zaczęła Amaltea. – Teraz proszę zwrócić uwagę na osoby oglądające właśnie akwarium, na lewo od nas, tam pod ścianą, koło begonii, filodendronów i innych roślin pokojowych. Ten postawny pan z wielkim brzuchem to komendant cesarsko-

-królewskiej policji von Zajonc. Nieprzyjemny gość i wielki oszust, jeżeli chodzi o karty. Ta pani, która z takim oddaniem zagłada mu w oczy i którą on od czasu do czasu podszczypuje w pewne miejsce, myśląc, że nikt tego nie widzi – to jego aktualna kochanka, Leokadia Vogel. Trzyma ją pod rękę pan adwokat Imre Vogel, jej mąż oraz wielki błazen. A ten niezgrabny, podobny do stracha na wróble, wymachujący rękami kościsty staruszek, który opowiada pozostałej części towarzystwa o rybkach w akwarium, to profesor nauk przyrodniczych tutejszego gimnazjum, Maurycy Pularka.

– Co ty powiesz? – wciąż powątpiewał Niecnota.

– Teraz proszę spojrzeć na tę pocieszoną parę, która już zapewne zdążyła zwrócić pańską uwagę swoimi zupełnie nieskrywanymi gestami. Tamta okazała dziewczyna z haczykiem zamiast nosa i rozpustnym językiem, to moja koleżanka z gimnazjum, Bożena Czarcik, którą już od dawna bezskutecznie usiłuje uwieść mój tatko. Koło niej stoi stały jej kawaler Baldur de Hohengoge, baron, stuprocentowy idiota, ale znakomity myśliwy i dzięki temu ulubieniec arcyksięcia Ferdynanda. Niedawno, gdy arcyksiążę przebywał w naszym Czortopolu, baron własną pierś zasłonił go przed kulą terrorysty.

– Już gdzieś słyszałem o tej historii – wymamrotał Jurek.

– Teraz proszę spojrzeć na prawo, gdzie pan, panie Niecnota, bez wątpienia zauważył już Jego Wysokość w otoczeniu nie mniej znakomitych osób. Tak więc ta stara jejmość ubrana w stylu z połowy minionego stulecia, to pani Melisanda z Poniatowskich Rzewuska, smętny odłamek dawnego, niestety wygasającego już, szlacheckiego rodu, chiromantka i awanturnica, jakich mało. Ten włochaty brunet, który tak zachłannie, dużymi łykami pije szampana, to konsul włoski, senior da Pederini, który wypoczywa w Karpatach na zaproszenie Jego Wysokości, a ten antypatyczny grubas z zapotniałymi pachami i cygarem w żółtych zębach, to pan Machalski, tutejszy milioner, właściciel znakomitego browaru w Czortopolu.

– Tak długo się nie żyje – powiedział Niecnota.

– Proszę? – spytała Amaltea.

– Mówię, że wszyscy oni dawno już powinni byli umrzeć – wyjaśnił swą myśl Niecnota.

– To niezbyt grzecznie z pańskiej strony, panie Niecnota – zachichotała Amaltea, wcale nie starając się ukryć swych przednich zębów.

– I ty też, mój koteczku – powiedział Jurek i filuternie przesunął ręką po jej siedzeniu, ale nie odczuł praktycznie żadnej przyjemności. „Nie są znowu takie miłe w dotyku te jej kształty” – pomyślał i jeszcze raz zajrzał w dekolt, ale wszystko było jakby na miejscu.

– Nikt mnie jeszcze nie nazywał „koteczkiem” – leciutko zarumieniała się panna Amaltea. – Jest pan taki ujmujący, panie Niecnota.

– To mówisz, że nie ma tu wolnego pokoju? – zdecydowanie zapytał Jurek.

– Henry Purcell. *Sarabanda* – zapowiedział muzykant.

Rozpoczął się powolny taniec. Do Amaltei zbliżył się jakiś fircyk o cienkich, jak u komara nogach, i zaprosił ją do tańca. Pary – a było ich chyba ze cztery – poruszały się majestatycznie, zbliżały się do siebie i oddalały, krążyły wokół własnych osi, robiły po dwa kroki w bok, potem odwracały się plecami do siebie i znów zaczynały wszystko od początku. Sztuka polegała na tym, żeby pamiętać kolejność niezbyt skomplikowanych *pas*.

„Też bym tak potrafił” – pomyślał Jurek, który już zaczął się nudzić na tym zebraniu czortopolskich snobów. W samą porę koło niego wyrósł Popiel.

– W sąsiednim salonie zaraz rozpocznie się gra. Czy gra pan w karty, panie Niecnota? – zainteresował się doktor.

– Kiedyś byłem mistrzem wydziału w brydżu – chętnie odrzekł Jurek.

– Więc proszę za mną.

Dość prowokacyjnie przeszedł między tańczącymi, posłał Amaltei w powietrzu pocałunek i wszedł w ślad za Szwajcarem do sąsiedniego salonu. Świec było tam mniej więcej tyle, co w poprzednim, ale był on zupełnie pusty, jedynie pośrodku stał ogromny stół przykryty zielonym sukniem, za którym już czekało trzech partnerów: awiator del Campo, Natanael

Hozenduft i komendant cesarsko-królewskiej policji von Zajonc. Jurek podszedł do stołu, wyprężył pierś i energicznie, niczym żołnierz, kiwnął głową, przedstawiając się:

– Del Niecnota.

Widać było, że awiator zagotował się, gdy usłyszał takie połączenie, ale powstrzymał się, błysnął jedynie oczami w kierunku Jurka.

– Proszę, niech pan siada, panie Niecnota – odezwał się grubaśny von Zajonc. – Słyszałem, że dobrze pan gra w preferansa?

– Na wypoczynek jeżdżę wyłącznie do kaukaskich kurortów – odpowiedział Niecnota.

– W takim razie jest pan godnym partnerem – z pobłażaniem w głosie mruknął von Zajonc.

Popiel, który do tej pory w milczeniu obserwował stół, wyciągnął z kieszeni pełniutką talię i życząc przyjemnej zabawy, znowu dokądś się oddalił.

Chwilę później zaczęła się gra, w której Jurkowi od początku się nie wiodło. Nie mógł rozegrać najprostszej kombinacji, wciąż dostawał „bez jednej” czy „bez dwu” lew, albo beznadziejnie wistował. Wydawało mu się przy tym, że von Zajonc szachruje nad wyraz wprawnie – nie wiadomo jak w jego rękach pojawiała się właśnie ta karta, której tak brakowało Jurkowi.

– Nasz poeta zapewne układa w głowie kolejny poemacik – przygadał Jurkowi del Campo. – Bardzo nieuważnie pan gra, panie Niecnota.

– Nie pozwala mi się skoncentrować zalatujący od pana zapach ropy, panie pilocie – odparował Niecnota i zaczął żałować, że nie było tu Amaltei, bo awiator o mało nie zersnął się ze złości.

– Panowie, nie warto psuć sobie humoru – rzekł dobrodusznie von Zajonc, zapisując sobie kolejne punkty.

Hozenduft milczał, wystukując palcami po stole jakąś żydowską melodię.

Jurka gra wciągnęła już po uszy, ale nie szło mu. Na dodatek było tu przyjęte mówienie o sprawach, które nie miały związku z grą, co mu przeszkadzało.

– Co panowie powiedzą na ostatnie wydarzenia w Bośni? Czy nie wydaje się panom, że niemieccy ministrowie chcą wyjść obronną ręką z dość delikatnej potencjalnej sytuacji? – zapytywał von Zajonc.

– Mają ku temu wszelkie podstawy – zaprzeczał mu del Campo.

– Ale to może zaszkodzić interesom naszego państwa – obstawał przy swoim von Zajonc.

– To szkodzi przede wszystkim Mikołajowi Drugiemu i jego polityce bałkańskiej, dlatego jest dla nas korzystne – nie ustępował del Campo.

– A co pan na to powie? – zapytał von Zajonc Niecnotę.

– Mnie to dotyczy w niewielkim stopniu – odrzekł Jurek. – Ale myślę, żeście trochę przesadzili. Rozumiem, że karnawał, zabawa, ale te wasze sztuczki retro przestają być już śmieszne, cwaniaczki. Do tego pan, panie komendancie, ma nad wyraz wytrenowane ręce, które pozwalają panu raz po raz wytrzasnąć z powietrza właśnie tę kartę, której mnie brakuje. Pewnie przechodził pan staż na moskiewskich dworcach?

I nagle zrozumiał, że ta gra nie jest zwykłą grą, że to gra o jego życie. Z jakiegoś powodu tak właśnie pomyślał i znalazł wiele dowodów na potwierdzenie tego. Po pierwsze, te rozmowy, które początkowo wydawały mu się niezbyt dowcipnym wymysłem, po drugie, ta niezwykła lekkość, z jaką przegrywał. Po trzecie, te widmowe ruchy jego partnerów, ta trupia bladość ich twarzy, ta krew, zastygła w kącikach ich ust.

– Co pan chciał przez to powiedzieć? – zerwał się na równe nogi del Campo i przeszył Jurka na wylot spojrzeniem z zaświatów.

Niecnota poczuł, jak krople zimnego potu spływają mu po czole i ramionach. Ale nie wiadomo skąd wzięła się pan-na Amaltea, wyrosła po prostu obok zielonego stołu i chwyciła go za rękę.

– Chodźmy – powiedziała.

– George Friedrich Haendel. *Pasakalia* – zapowiedziano w pierwszym pokoju.

– Przegrał pan – zasyczał del Campo, choć żadnym z w obydwu tych słów nie było syczącej głoski.

Jurek podniósł się, i na nogach jak z waty ruszył w ślad za Amalteą, trzymając ją za rękę. Jego partnerzy pozostali przy stole, jakby czekając na następnego skazańca.

Amaltea szła prędko, prawie biegnąc, prowadząc za sobą Niecnotę przez kolejne pokoje Willi z Gryfonami. Jurek czuł się coraz gorzej, odczuwał straszliwą suchość w ustach, serce kołatało mu szaleńczo, włosy zlepiał zimny pot, a przed oczami migotały mu fioletowe koła i czarne błyskawice.

– Zaraz, kochanie, zaraz – słyszał erotyczny szept Amaltei, ale zupełnie nie miał ochoty i nie mógł jej przelecieć, a na dodatek poczuł w swojej dłoni coś zupełnie niepodobnego do dziewczęcej rączki, było to raczej coś jak kawałek drewna czy też może kikut.

Pokoje przepływały z taką szybkością, jak na ekranie, rozwierały się wciąż nowe drzwi, leciały im na spotkanie wciąż nowe zwierciadła, świeczki, zarosła roślin doniczkowych, portrety w pozłacanych ramach, skrzydła, płaszcze, kapelusze, peleryny, wypchane ptaki. Kiedy już wydawało się, że ten lot nigdy się nie skończy, a muzyka *Pasakalii* Haendla dźwięczała coraz to bliżej, jak końcowy żałobny akompaniament, otworzyły się w końcu ostatnie drzwi i Amaltea wciągnęła go do ciemnego, pustego i zimnego pokoju z brudnymi szarymi ścianami i niemytą podłogą z czerwonawymi plamami.

Pośrodku pokoju stał stół mniej więcej wielkości tego do gry w karty, tylko że ten był przykryty czarnym suknem. Samotna świeczka płonęła na jego brzegu. Pan Popiel odziany był w habit mnicha, a na głowie miał odwróconą mitrę biskupa. Pobożnie złożył ręce do modlitwy, mamrotał jej słowa, a twarzą zwrócony był do obrazu, który wisiał w półmroku na ścianie. Wokół niego w niemym zachwycie zastygło kilku służących w liberiach. Jeden z nich trzymał na rękach maleńkiego czarnego capa.

– Panie nasz, ty, co tam, co nam dasz, daj dziś nam, spod ziemi, spod kamieni, spod mórz daj nam dziś, cień tam tonie, cień gdzieś tam, daj nam pot, daj nam krew, daj nam łez i siana wóz, jego ciało, jego duszę, jego serce, jego dupę, spod mórz, spod ziemi, spod kamieni. Amen. W imię ogona, i łona, i sinego członka. Amen. W imię śliny, i krwi,

i chorego zęba. Amen. W imię nerek, i kiszek, i wiecznego strachu. Amen. Margadon, Belzebub, Lucyfer! Guinehochet, Eblis, Kalwin! Asmodeusz, Zoroaster, Basawriuk*!

Po skończonej modlitwie pan Popiel odwrócił się do Jurka i ukazał mu się w całym swym majestacie. Jego oczy świeciły żółtym blaskiem. Jurek leżał na stole przykrytym czarnym obrusem. Nad nim stał sługa z młodym capem na rękach i wodził naostrzonym nożem wokół szyi capa. Z drugiej strony stała Amaltea, ale już nie ta, lecz stara i garbata, w znoszonym szmatławym odzieniu, ze złotymi kłami, które sterczały na miejscu dawnych miłych zajęczych przednich ząbków.

– Przysięgaj – powiedział doktor.

... i wiedziałeś, że trzeba się przeżegnać, ale nie wiedziałeś jak, więc krzyknąłeś i udało ci się stanąć na nogach, i przedarłeś się jak przez watę, lepką i krwawą, przez to powietrze, wysadziłeś ramieniem szybę w oknie, kopnąłeś sługę, który chwycił cię za poły fraka, ale noga napotkała jeszcze bardziej lepką watę, i skoczyłeś w dół, Jurku, w przepaść, zwaną majową nocą, spadałeś w dół miliony lat, przetrwałeś wszystkie cywilizacje i katastrofy, wszelkie ery i upadłeś prosto w jakieś wilgotne krzaki, uderzyłeś się przy upadku, podniosłeś się boleśnie podrapany, spojrzawszy raz jeszcze na Willę z Gryfonami i pobiegłeś przez sad, przeskoczyłeś przez ogrodzenie, a nad wszystkim wyśpiewywał swe namiętne trele niewidzialny czortopolski słowik...

I dopiero około szóstej rano wydostaniesz się wreszcie z labiryntu miasteczka i drżąc z chłodu, dobrniesz do tego cholernego hotelu. Z porannej mgły wypłynie wprost na ciebie jakaś dziwna, kulejąca postać o wygolonej głowie z osełdce, w brudnym mundurze strzelca siczowego, w której z trudem poznasz Grzeška. Prawie nie rozmawiając wejdziecie do hotelu i dopiero na górze, gdzie czeka

* Dwa spośród dziewięciu diabłów są „autorskiego” pomysłu składankami. *Margadon* pochodzi od greckiego *margos* (szalony, opętany) i sumeryjskiego *don* (diabeł, demon). *Basawriuk* jest zapewne muzulmańskim (tureckim) przekleństwem (świńska głowa!) (przyp. tłum.).

na was ciepły pokój z bielutką pościelą i gorącą wodą, Grześ ziewnie i usłyszysz:

– Dobrze byłoby się przespać, co?

To był zwykły nocny, uliczny narkoman, których o tej porze wałęsa się więcej, niż trzeba. Wynurzył się jak nocna zjawka z głębokiej bramy, obok której przechodzili właśnie Marta i Gajski. Narkoman był zupełnie bosy, podązał dwa kroki za nimi, lekko, z gracją, machając rękoma niczym skrzydłami, jakby unosił się, niemal nie dotykając twardego czortopolskiego bruku. Było mu wciąż jeszcze dobrze, choć wiedział już: błogostan ma to do siebie, że przemija. Był jasnowłosy, nie miał więcej niż siedemnaście lat.

– Czemu idzie za nami? – trwożnie zapytała przestraszona Marta.

– Daleko jeszcze do hotelu? – zapytał ją Gajski.

– Koło dziesięciu minut – odpowiedziała i obejrzała się.

Narkoman przypominał tancerza, ubrany był w sweter w paski i bardzo szerokie spodnie, w których czuł się swobodny i nieskrępowany. Unosił się.

– Chcesz, żebym mu przyłożył? – zapytał Gaj.

– Przecież nic nam nie zrobił – zaproponowała Marta.

– Ale denerwuje mnie. Chcę, żeby się odczepił.

– Na razie nie trzeba, Gaj. Szkoda mi go, jest przecież taki młody.

– Trzeba mu po prostu przytrzeć nosa i tyle – przekonywał ją Gajski.

– Może byśmy przyspieszyli kroku, żeby został w tyle?

Poszli szybciej, ale narkoman nie został w tyle. Zamachał silniej rękoma-skrzydłami i znowu był dwa kroki za nimi.

– A nie mówiłem, że to jedyne wyjście? – nalegał Gajski.

– Przecież nas nie zaczepia – znowu zaprotestowała Marta.

– Jak zaczepi, będzie za późno. Nie będę go bić, powiem tylko parę słów.

– I tak nic nie zrozumie.

– Zrozumie. Powiem mu, żeby się odczepił, bo dostanie po twarzy.

– Gaj, może i bez tego dojdziemy do hotelu? Wydaje mi się, że on nas nawet nie widzi, więc po co z nim będziesz gadał? Jest teraz tak pochłonięty swoimi wizjami, że po prostu nie widzi nas...

– Stają' i nie dwiga' sa*! – rzucił im w plecy narkoman, dowodząc tym samym, że Marta zupełnie nie miała racji.

Zatrzymali się. Marta czuła, że drży. Gajski raptownie odwrócił się i zrobił krok w kierunku narkomana.

– Młodzieńcze, pan raczył coś warknąć do nas? – zapytał, ruszając żuchwami i wyciągając jednocześnie ręce z kieszeni płaszcza.

– O, młodzieńcze! – zaśmiał się narkoman. – Młodzieńcze!

– Posłuchaj mnie, stary, uważnie – Gaj starał się mówić twardo i zarazem życzliwie. – Bardzo mi się nie podoba, że idziesz za nami. Miasto nocą jest dość duże. Możesz iść, gdzie ci się żywnie podoba, ale odczep się od nas.

– Stary! – zaśmiał się narkoman.

– No, co chciałeś powiedzieć? – zapytał Gaj.

– Stary, jesteś crazy.

– Wiesz, mogę całkiem inaczej z tobą pogadać – zdecydowanie chłodniej zapewnił go Gajski.

– Gaj, chodźmy – poprosiła Marta.

– Jesteś crazy, crazy!

– Odczep się, czy to jasne? – Gaj wziął Martę pod rękę i poszedł dalej.

Ale narkoman się nie odczepił. Śmiał się i udawał, że ich goni, ale zachowywał cały czas odległość dwu kroków. Gajski znowu zatrzymał się i odwrócił do niego.

– Daj spokój – powiedziała Marta.

– Komu dać spokój? – zapytał narkoman. – Komu? Jesteś crazy woman. W kulki lecisz? Znam cię. Różnałem cię!

– No i masz – znudzonym tonem rzekł Gajski. – A mówiłaś „daj spokój”. Teraz już muszę...

– Ty! – krzyknął narkoman. – Ty, stary! Uderz mnie tu. – Wskazał na piersi. – Uderz. Poniał, ty, kaziol**?

* Stać i nie ruszać się.

** Jasne, ty pedale?

Rozłożył ręce jak ukrzyżowany, czy też raczej jak strach na wróble. Czuć było od niego nieprzyjemny zapach, wargi miał obsypane pryszczami jak po gorączce.

– No, uderz mnie, no, uderz – prawie błagał. – Widzisz, stoję tu.

– Rzeczywiście przydałoby ci się dać butem w mordę – cedził Gajski. – A w szczególności za „pedała”. Ale nie mam ochoty przelewać twojej głupiej krwi. Możesz iść, jesteś wolny.

– Nie – znowu zaśmiał się narkoman. – Nie jesteś pedałem, jesteś ciota, zrozumiałaś, znam cię, jesteś z ósemki, z zawodówki. Ciota!

– Marteczko, proszę, odejdz trochę – powiedział ciepło Gajski.

– Marteczko, proszę, weź do buzi – naśladował jego ton narkoman.

– Gaj, proszę cię, chodźmy, ile to może trwać? – Marta bała się już nie na żarty. Ale rzeczywiście odeszła z dziesięć kroków.

Narkoman opuścił ręce. Tym razem podniósł jedną nogę.

– Uderz mnie – znowu poprosił. – Widzisz, stoję na jednej nodze.

– Stary – jeszcze raz ugodowo zaczął Gajski. – Wierzę, że jesteś karateką. I w ogóle fajny z ciebie gość. Idź swoją drogą.

– Aha! – krzyknął smarkacz. – Swoją drogą! W portki robisz?!

Zrobił uskok i przyjął postawę bojową.

– Chcesz, żebym wyciągnął nóż? – zapytał.

– Hm, nóż, całkiem nieźle – powiedział Gajski.

– No, przywal – i rzeczywiście wyciągnął z szerokich spodni niewielki nóż.

– Świetny nóż – zapewnił go Gajski. – Skąd go masz? Można popatrzeć?

– Aha! Wspaniały nóż! Masz!

Gaj potrzymał nóż w ręku, udając, że mu się przygląda. Potem spytał:

– Co ci dopiekło, stary?

– Chcę was wszystkich pozabijać – wyjaśnił narkoman.

– Nas, to znaczy kogo?
– Was, kutasów i cioty. Takich, jak ty.
– Jesteś z Czortopola?
– Znam tu wszystkich, poniał?
– Wierzę ci. Masz papierosa?
– Gaj! – zawołała Marta. – Idziemy, ile można?
– Zaraz! Przepraszam, stary, muszę iść – dama czeka.
– Możesz sobie iść – powiedział narkoman. – Idź. Taki już twój nieszczęsny los, cioto żaloszna.

Gajski uderzył go zupełnie niespodziewanie, nogą w brzuch. Marta krzyknęła, a chłopak wydał głuchy dźwięk i zgiął się wpół. Gajski odrzucił nóż w bok, na trawę. Potem splótł palce i uderzył go oburącz po głowie. Ale tamten nie upadł, jak przewidywał Gajski, tylko odskoczył kilka kroków i wrzasnął:

– No i czegoś tyle czasu czekał?

Podniósł z ziemi całkiem sporej wielkości kamień, który nie wiadomo po co tu leżał. Gajski jeszcze raz rzucił się na niego z uniesioną nogą, żeby wybić mu kamień z ręki, ale nie wcelował, więc rzucił się do ucieczki. Złapał Martę za rękę. Narkoman z kamieniem w ręce biegł za nimi.

– Aaa! – krzyczał. – Śmierć wam! Śmierć!

Nogi uginały się pod nimi, wydawało się, że lada chwila narkoman ich dogoni. Pięć metrów od nich rzucił kamieniem, ale Gaj zdążył zareagować i schylił się. Kamień przeleciał tuż nad jego głową. Gaj zatrzymał się.

– Marta, idź do przodu – zachrypiał i znowu ruszył w kierunku narkomana.

Krew ciekła mu z ust, pewnie Gaj zdołał mu porządnie przyłożyć po kiszkach.

– Jesteś crazy, crazy – mówił chłopak, ale już innym, żalosznym tonem, powoli cofając się. – Za co? Głupi jesteś. Nic ci nie zrobiłem, pedale...

I nagle się rozplakał, odwrócił plecami do Gajskiego i pokuśtykał, trzymając się ręką za bok. Gajski zatrzymał się i patrzył w ślad za nim. Ten szedł coraz szybciej, pociągając nosem i wycierając twarz dłonią. Niebawem znikł w ciemnościach, choć Gajski słyszał jeszcze w sobie echo jego „crazy, crazy”.

Okna hotelu „Magura” świeciły już całkiem blisko, jak reprezentacyjny transatlantyk, który w żaden sposób nie może wypłynąć w ocean z tej górskiej pułapki. Hotel „Magura” oczekiwał swych spóźnionych gości.

Martoflak zbudził się, gdyż z góry spadał na niego jakiś bliżej nieokreślony obiekt, coś jakby bryła, a może raczej worek z ciepłym ciastem, grożąc mu całkowitym zmiażdżeniem swym dusznym ciężarem. Otworzył oczy, ale nie od razu zrozumiał przyczynę sennego koszmaru, powoli jednak dochodził do wniosku, że nic innego w takiej sytuacji nie mogło mu się przyśnić. Spał z jakąś nieznaną kobietą, o której prawie nic nie mógł powiedzieć, może tyle, że śpi całkiem naga i leciutko pochrapuje. Jej ciężkawa prawa pierś spoczywała na obojczyku Martoflaka, w pobliżu szyi, tak że jego sen rzeczywiście mógł zakończyć się całkowitym uduszeniem. Uwolniwszy ścierpniętą prawą nogę z pomiędzy jej spoconych ud, Martoflak ze zdziwieniem stwierdził, że również jest goły, ale nie odważył się powiązać tego faktu z gołizną sąsiadki. Niezbyt zdecydowanym ruchem podniósł głowę, rozejrzał się po pokoju w szarawym świetle przedświt. Dopiero wówczas coś niecoś mu się przypomniało. Jego ubranie, łącznie ze slipami, leżało rozrzucone wokół łóżka. Łóżko zaś okazało się niezwykle szerokie; z przeciwległej strony spał ten trzeci – a był to Bielinkiewicz, co prawda kompletnie ubrany, w mokasynach nawet. Kartonowa plakietka z napisem „Komitet Organizacyjny” falowała równomiernie na piersi w rytmie jego głębokiego oddechu.

Było mu podle. Chciało się piwa. I dowiedzieć się, co to wszystko oznacza i co należy robić dalej. Martoflak obszedł łóżko dookoła, starając się dowiedzieć chociaż, co to za jedna i ile ma lat, ale kobieta spała tak chytrze ułożona, że jej fizjonomia była ze wszystkich stron zasłonięta.

Martoflak ubrał się i na palcach wyszedł z pokoju. Nadspodziewanie łatwo znalazł łazienkę z ubikacją. Skrzywił się, ujrawszy się w lustrze, nie z powodu wybałuszonych oczu w kolorze raka i worków pod nimi, lecz dlatego że uświadomił sobie głębię swego upadku. Ziewnął i prze-mył oczy. Widok wody, która pociekła z kranu zbudził

w nim pragnienie, przypadł więc chciwie ustami do zimnego niesmacznego strumienia.

Mieszkanie składało się z dwu pokoi. Drugie pomieszczenie okazało się większe od tego, w którym nocował Martoflak. Właściwie wszedł tam wyłącznie w poszukiwaniu łyka piwa albo jakiegoś papierosa. W pokoju spało gdzieś koło dwunastu osób, nie tylko na łóżkach, ale i na podłodze, pomiędzy pustymi butelkami i rozrzuconym karnawałowym odzieniem. Pozasypiali w kulminacyjnym momencie zabawy, zamarli w najbardziej fantastycznych pozycjach, powłaziwszy jedni na drugich. Przepelniona popielniczka śmierdziała, lecz Martoflak znalazł w niej sporego peta i zapalił. Piwa nie było.

Nie ulegało wątpliwości: trafił do burdelu. Współczesnego sowieckiego burdelu najniższej kategorii. Do śpiącego o świcie burdelu, w którym mężczyźni robią się bezbronni jak dzieci, po starannie przepracowanej nocy dla zaspokojenia swoich kupionych dam, strudzeni, zapadają się w poranną mgłę. Wtedy wydaje się, że przyszli tu nie po miłość, a po możliwość snu, tego dwugodzinnego, głębokiego porannego snu, podczas którego wszystkich ich można obrażać, zarżnąć, udusić, a oni nawet nie drgną, bo przebywają gdzieś bardzo, bardzo daleko. Śpią oddani i natchnieni, śpią całym swoim jestestwem, nie żałując swego życia, ofiarnie i do końca. Przecież w każdej chwili mogą ich zbudzić i posłać na front czy do kopania jakichś rowów albo budowy kolejki wąskotorowej. Dlatego każda chwila jest droga, trzeba spać, póki sen trzyma w objęciach, póki szarzeje świt, póki śpią wszyscy na świecie oficerowie i żołnierze na warcie.

Martoflak ostrożnie wyszedł na schody. Dom był stary i wieczny, schody skrzypiały pod nogami, z rozbitego okna między piętrami powiało chłodem, Martoflak mimowolnie się skulił. Na dworze się rozwidniało, uliczka była pusta i niema. Panowała martwa cisza. Święto zasnęło na dwie godziny, święto odpoczywało. Martoflak znowu ziewnął i niespiesznie potoczył się szukać rynku albo hotelu, albo po prostu budki z piwem, albo swojej żony, albo jeszcze czegoś.

Dopiero w hotelu straciłam panowanie nad sobą i wpadłam w histerię, powtarzałam tylko „dość, mam tego dość”, Gaj głaskał mnie po głowie, całował mi ręce, wydawało mi się, że pachniał jeszcze krwią tego nieszczęśnika, spojrzałam nawet na czubki butów, czy nie ma na nich krwi, ale były czyste, Gaj przyniósł mi wody, to wszystko przez niego, mówiłam, wszystkiemu winien Martoflak, zostawił mnie, podlec, porzucił, nie jestem dla niego interesująca, bo nie umiem mówić o jego wierszach, a on jest taki łasy na komplementy, najlepsi dla niego są ci, którzy najbardziej wychwalają jego talent i geniusz, a ja nigdy nie chwale go, choć znam na pamięć prawie wszystkie wiersze, bo jest moim ulubionym poetą, nawet dzieci nauczyłam kilku jego głupich wierszy, biedne dzieci, za co one się męczą z takim tatusiem, wszystko to wypaliłam Gajowi, a on tylko głaskał mnie po ręce i prosił, żebym się uspokoiła, mówił, że Martoflak na pewno wróci, że życie jest piękne i jutro rano zjemy wspaniałe śniadanie, a potem pójdziemy na festyn i on, Gaj, kupi mi tam huculski naszyjnik, prawdziwy gerdan, później posłuchamy rocka u podnóży Pisanej Skały, będą grać jego dobrzy znajomi, „nawet nie wiesz, Martusiu, jacy to wspaniali chłopcy, ten «Doktor Tagabat», piszą muzykę do moich słów, to supergrupa”, wy wszyscy znacie tylko siebie, powiedziałam mu, co z tego, że piszą muzykę do twoich słów, zgodził się ze mną, to nie znaczy, że to najlepsi muzycy na świecie, tylko dlatego, że piszą do jego słów muzykę, wyciągnął ze swojej torby szampana, ale poprosiłam, żeby poczekał, spojrzałam na zegarek, po czwartej, o mój Boże, gęba spuchnięta od łez, tusz popłynął, a ty mi nic nie mówisz, Gaj, „nie chciałem ci robić przykrości”, siedział w fotelu, dobrze zbudowany, słusznego wzrostu, sprężysty, cały jakby spleciony z mięśni, męska, szczupła twarz, włosy związane z tyłu w ogon, przypomniałam sobie, jak przyłożył nogą temu łachudrze, nocnemu aniołowi, skądś się wziął na nasze nieszczęście, biedne dziecko, Gaj nie chciał się z nim bić, robił, co mógł, teraz jest mu przykro, siedzi w fotelu i pewnie myśli o tym obłąkańcu, ale musiał przecież mnie bronić, bronić mojej czci, posiedź jeszcze chwil-

kę, powiedziałam do niego i poszłam do łazienki, gorąca woda poskutkowała; uspokoiłam się i pomyślałam, że nie jest tak źle, spojrzałam na siebie w lustrze, na swoje ciało, zmyłam z siebie te głupie łzy i zapytałam sama siebie, czy zdołam choć raz w życiu coś zrobić, nieważne, że złego, czyżbym miała być do końca swoich dni jedynie cieniem tego straszdyła, tego samolubnego pętaka, wystraszyłam się trochę tych myśli, ale jednocześnie było mi przyjemnie, odezwało się we mnie coś takiego, czego przedtem nie znałam, długo rozczesywałam mokre włosy, gorąca woda pachniała lianami podziemnych mórz, czułam najmniejszą nawet cząstkę swojego ciała, spokojnie, spokojnie, posiedź jeszcze trochę, zaraz wyjdę i wypijemy twojego szampana, zaczęłam się spieszyć, bo nic gorszego nie mogłoby się zdarzyć, niż siedzieć tu samej do rana, w tym obcym pokoju i nadśłuchiwać, czy nie lezie gdzieś korytarzem pijany Martoflak, co raz to podchodzić do okna, patrzeć na pustą ulicę w dole, odważyłam się więc i ubrałam się nie w dżinsy i sweter, a w szlafrok na gołe ciało, wyciągnęłam go z torby, Gaj od razu wszystko zauważył, usłyszałam, jak mu lekko zadrżał głos, usiadłam obok, złapał się za szampana, ale ręce nie słuchały się go, no i po co zajmujesz się głupstwami, chciałam powiedzieć, wcale nie mam ochoty na tego szampana, ale on wciąż męczył się z butelką, próbował nieporadnie żartować, czyżby wszyscy tacy byli, ci rejestrowi lowelasi, postanowiłam mu pomóc, nachyliłam się do niego, pomyślał najpierw, że chcę pomóc mu z tym szampanem, ale powiedziałam, „zostaw tę butelkę”, rozwiałam resztki jego wątpliwości, a jednak okazał się domyślny, zdołałam tylko dosięgnąć kontaktu i wtedy zaczął się ten sen, nie wierzyłam, że to ja, obserwowałam wszystko jakby z boku, przedzierałam się przez jego ubranie, rozrzucałam je na wszystkie strony, okazał się szczupły i silny, z bardzo wrażliwą skórą i niezwykłymi dłońmi, od razu się naprężył, ale był cierpliwy, czekał, prowadził bardzo przemyślną grę, po raz pierwszy dowiedziałam się, że jest to możliwe, ale najważniejsze było to, że najważniejsze przed nami, on zręcznie odsuwał ten moment, najwspanialsze pozostawało przed nami, on zaś

doskonale to rozumiał, jego długie, wysportowane nogi umiały nie mniej niż ręce, jego brzuch był lekko wilgotny i pachniał, rozwiązałam mu włosy; rozsypały się na ramiona, wędrowałam przez jego ciało, pamiętając, że trzeba być cierpliwą i że najważniejsze dopiero ma nastąpić, ale już teraz jest mi nie do wysłowienia słodko, on zaś usłyszał mój głos, wcale tego nie chciałam, ale głos nie mógł już zatrzymać się we mnie, wtedy usłyszałam jego głos, jakbyśmy nawoływali się skądś z nieba, w którym jesteśmy, rozumiał każdą moją odpowiedź, naprawiał wszelkie niezdecydowanie, nikt jeszcze tak mnie nie rozumiał, dygotałam jak w febrze, płynęłam niczym rzeka, moje ciało stało się falą, prosiłam, żeby wszedł i zaczynał, lecz on dalej ciągnął swoją grę, podążałam za nim, bo rozumiałam, że skoro on tak chce, to znaczy, że tak być powinno, przecież wie lepiej ode mnie; i rzeczywiście, doprowadził mnie do całkowitego zapomnienia, nie wiedziałam, gdzie co jest, byłam całością, ciało zrobiło się niepodzielne, to nie mogło trwać dłużej, złapałam go obydwoma rękami i sama go wprowadziłam, dopiero wtedy uległ moim błaganiom, bo już skłonna byłam pomyśleć, że się znęca, ale mimo wszystko wierzyłam, że nie, teraz to był już prawie szczyt, bałam się nie zdążyć, on zaś przestał panować nad sobą, odkąd mi się poddał, zapomniał o zasadach swojej gry, nie należał już do siebie, tylko do mnie, teraz ja starałam się powstrzymać, powstrzymać jeszcze chwilę, nie słyszałam własnego głosu, usłyszałam natomiast walenie w drzwi, to była katastrofa, spadałam, nie dotarłam do szczytu, spadałam tak długo, jak długo słyszałam walenie w drzwi i głos Martoflaka, ale on za to dotarł, cieszyłam się, że tak się stało, że z nas dwojga przynajmniej on znalazł się tam, na szczycie, że to ja dałam mu to szczęście, zdążył, z wdzięcznością ocierał się o mnie jak najwierniejszy pies, a ja powtarzałam: „co teraz zrobimy, co teraz zrobimy” ...

– O, cześć, stary, co robisz w moim pokoju? – z uśmiechem zainteresował się Martoflak, kiedy Gajski otworzył mu drzwi.

– Wiesz – odpowiedział Gajski, wpuszczając go do środka – Marta bardzo się denerwowała, nie wiedziała, gdzie się podziałeś. Musiałem ją trochę uspokoić.

– Aha – kiwnął głową Martoflak, rozejrzawszy się po pokoju. – Całkiem fajnie tu. A ja myślałem, że ulokowali cię u nas na trzeciego.

– Różne rzeczy zdarzają się w tych hotelach – wzruszył ramionami Gajski.

Martoflak usadowił się w fotelu.

– No właśnie, a gdzie ona jest? – zapytał w końcu.

– Kto? – spytał Gaj.

– Marta.

– W łazience. Postanowiła się wykąpać.

Martoflak podniósł się, podszedł do drzwi łazienki.

– Martusiu, kochanie, już jestem! – oznajmił. – Słyszysz? Z łazienki słychać było energiczny plusk wody. Marta naprawdę się kąpała.

Martoflak wrócił do pokoju.

– Masz papierosa? – spytał.

– Niestety, skończyły mi się.

– Zawsze tak jest – westchnął i wydobył z kieszeni kolejnego peta. – Możemy się podzielić. Zostawić ci?

Gaj potaknął.

– Nawet grabarz by tego nie palił – powiedział Martoflak po zaciągnięciu się i odkaslnięciu. – Która godzina? – I sam sobie odpowiedział: – Pół do szóstej. No to ładnie.

– Spiesz się trochę – powiedział Gaj.

– Możliwe.

Milczeli chwilę. Martoflak oddał Gajowi peta i zniemacka zapytał:

– Słuchaj, a dlaczego nie schowałeś się na przykład pod łóżko?

– Głupstwa gadasz, stary – zaśmiał się Gajski.

– No nie, pomyśl tylko, chowasz się pod łóżko albo do szafy. My z Martą kładziemy się, żeby się trochę przespać, a ty po cichu sobie wychodzisz. Świetny wodewil, nie?

– Niepotrzebnie tak mówisz – beztrąsko zaśpiewał Gajski. – Chcesz szampana?

– Nalej – potaknął Martoflak.

Tym razem butelkę otworzono z łatwością i prawie bezszelestnie. Gaj nalał po pół szklanki.

– Słuchaj – spytał Martoflak, nadpiwszy kilka łyków – czy jutro, to znaczy już dzisiaj, bo jutro to tylko inna nazwa dla dzisiaj, czy dziś nie ma tam w programie jakiegoś pochodu rogaczy? Nie pamiętasz?

– Nie – poważnie odparł Gajski. – A co?

– No bo mógłbym wziąć w nim udział – wyjaśnił Martoflak i postawił szklankę na stoliku.

Gaj także odstawił swoją szklankę i w tym momencie otrzymał potężny cios od dołu w szczękę. Wszystko stało się tak niespodziewanie, że nie utrzymał równowagi i upadł na wznak.

„Zaraz się pozabijają”, pomyślała przyczyna bójki – Marta, nasłuchując z łazienki. Złapała ręcznik i zaczęła szybko wycierać się, by nie dopuścić do takiego finału.

Gajskiemu ciekła krew z wargi.

– Przepraszam, stary – powiedział Martoflak. – Nie chciałem tak mocno.

Podał mu rękę, Gajski podniósł się, potrząsając głową, jak bokser po nokaucie.

– Co tu się dzieje? – weszła do pokoju Marta, w tym samym szlafroku. Pachniała wodą i mydłem.

Martoflak grzecznie pocałował ją w rękę.

– Napijesz się szampana? – zapytał.

Siedzieli wokół stołu, Martoflak napełnił trzecią szklankę.

– Wypij – podał Marcie. – To dobrze robi po kąpieli.

– Biliście się, czy co? – zapytała Marta.

– Tak – z werwą odpowiedział Martoflak. – I wiesz co? Gaj jest bardzo sprawny fizycznie. No, ale ty już to wiesz. Jest bardzo silny, ale nic mi nie zrobił. Pobitem go.

– Po prostu nie mógłbym cię uderzyć – powiedział Gajski, tamując płynącą z wargi krew chusteczką do nosa.

– Oho! – uśmiechnął się Martoflak. – Jesteś świetnym przyjacielem. Wiernym. Chciałbym wypić za twoje zdrowie. Marto, pijemy za Gaja. Żeby się szybciej ożenił, niech go nagły szlag trafi!

Stuknęli się szklankami, Martoflak mrugnął do niej.

– Gdzie byłeś, mężu? – spytała Marta.

– U jednej damulki. Ale do tej pory nie wiem, czy przeleciałem ją, czy nie, śmieszna historia, nie?

– To bardzo ryzykowne, Martoflaku – powiedziała Marta.

– Co jest ryzykowne? – zapytał Martoflak. – To, że opowiedziałem ci o tym?

– To, że niczego nie pamiętasz. A jeśli miała syfa?

– Wszystko jest możliwe – westchnął Martoflak. – Oczywiście żartowałem.

– Tak też myślałam.

– No to fajnie. Słuchaj, Gaj, co tak siedzisz? Krew ci już nie leci. No, powiedz coś – Martoflak wyczekująco spojrzął na Gajskiego.

Gaj schował chusteczkę z plamką krwi.

– Zazdrościsz ci, stary – powiedział.

– To miło, ale dlaczego, do cholery?

– Jesteś szczęśliwym człowiekiem.

– Aha – ze zrozumieniem rzekł Martoflak. – To co innego. Chcecie, opowiem wam kawał? Mąż wraca z delegacji, no i oczywiście przyłapuje żonę na gorącym uczynku – to powiedziawszy, zamilkł.

– To wszystko? – spytała Marta.

– Nie, ale przypomniałem sobie, że to znacie. A może znacie jakiś inny podobny? Wszystkie są jednakowe, zawsze o tym samym. Może byśmy poszli spać? – ziewnął.

– Nie ma sensu – wzruszył ramionami Gajski. – Lepiej już przesiedzieć te kilka godzin, a potem pójdziemy na święto albo i gdzie indziej.

– Masz rację, już nie ma sensu – zgodził się Martoflak i położył się na podłodze. – Poleżę trochę. Z otwartymi oczami.

Przygwoździła ich cisza. Nikt nie uronił więcej ani słowa. Martoflak leżał na wznak na podłodze, rzeczywiście z otwartymi oczyma. Gaj usadowił się w fotelu, grzejąc ręką szklankę z niedopitym szampanem. Marta usiadła na łóżku i wtopiła wzrok w coś za oknem. Szarzało już, dobiegał ich śpiew porannych ptaków z nieznanych krajów. Słysząc było najcichszy nawet dźwięk w pogrążonym prawie całkowicie we śnie hotelu: czyjeś kroki w korytarzu, stłumione chodnikiem, przekręcanie klucza w drzwiach

naprzeciwno, ciurkanie wody w pokoju obok. Świat zastał na nich sieci i pojmał ich*.

Nie potrwało to długo; nagle wszyscy usłyszeli jakieś szamotanie za drzwiami, tym razem otwartymi – i do pokoju weszły dwa upiory. Jeden w mundurze strzelca, z pasmem włosów na ogolonej głowie, drugi w czarnym fraku, w muszce. Obydwaj byli wymięci, bladzi i hałaśliwi.

– Oho, masoneria na miejscu! – wrzasnął Grześ, w ten sposób witając obecnych.

– Słuchaj, Gaj, widziałem się z twoimi postaciami! Kupa niegodziwców, ledwo przed nimi uciekłem.

– Siadajcie, chłopcy – spokojnym głosem odezwał się z podłogi Martoflak. – Albo przynieście jeszcze dwie szklanki ze swojego pokoju. Albo dajcie zapalić. Albo usiądźcie i pomilczcie z nami. Albo idźcie do cholery.

Grześ wybrał jeden z zaproponowanych wariantów i wkrótce wrócił z dwoma szklankami. Gaj rozlał resztę szampana.

– Każdy z was na swój sposób nieźle spędził tę noc – zwrócił się do obecnych Martoflak, stojąc z napełnioną szklanką. – Ale niech ta noc należy do każdego z nas z osobna. Każdemu – jego noc. Chcę wypić za to, moi drodzy. À propos, tylko wy możecie nas poratować papierosami.

– Dupa blada – odparł na to Grześ.

– Dupa zimna – solidarnie oświadczył Niecnota.

– Jeżeli nawet wam nic nie zostało, to koniec, trzeba umierać – westchnął Martoflak, ale zaciął się, bo przypomniał sobie o Niecnocie.

– Wstyd i hańba – zgodził się Grześ.

Wypili i znowu umilkli. Wydawało się, że ten pokój skazany jest na milczenie. Nawet, gdyby wtargnęło tu jeszcze ze dwudziestu poetów, milczelibyście i wpatrywali się każdy w inny punkt, każdy w swoją noc, która stała za każdym z was, głęboka i czarna.

– Chodźcie, zbudzimy Stadnickiego – zdobył się nareszcie na przerwanie ciszy Gajski.

* Odwrócenie aforyzmu Hryhorija Skoworody, umieszczonego na jego nagrobku; w oryginale: *Świt łowyw mene, ale ne spijmaw*.

- A w którym pokoju mieszka? – spytała Marta.
- Słuchajcie, przecież do tej pory nie widzieliśmy się z nim – kontynuował Gajski. – To on zorganizował cały ten burdel, a sam gdzieś się ukrywa...
- Wymyślił to idiotyczne święto, a sam schował się z głową pod kołdrę – dodał Niecnota.
- To na jego telegram przyjechaliśmy, to on oderwał nas od ważnych spraw, zakłócił nasz spokój, a sam objadł się kiełbasą i chrapie – zgodził się Martoflak.
- On zarabia na tym pieniądze, a my musimy być na każde jego skinienie, łapiemy się na to – oburzył się Grześ.
- On na wszystkim robi pieniądze...
- To utalentowany chłopak, ale kawał chuja...
- Postąpił tak jak zwykle...
- Jesteśmy jego królikami doświadczalnymi...
- Nigdy mi się nie podobał...
- Właściwie to szczerze obdarzony przez naturę prymityw...
- Źle skończy...
- Powieszą go za „żywienie się ludzkim mięsem”*...
- Chodźcie go zbudzić – podsumował Gajski.
- Zadzwoń do niego do pokoju – oświadczył Grześ i wyciągnął z kieszeni notes. – Mieszka w...
- Grześ wykręcił jakiś numer, ale po chwili odłożył słuchawkę.
- Nie odpowiada? – domyślił się Martoflak.
- Jak na to wpadłeś? – pytaniem na pytanie odpowiedział Grześ.
- Pewnie nie ma go tam – poszedł nawet dalej Niecnota.
- Albo nie chce mu się wstać do telefonu – przypuścił Gajski.
- Albo leży tam z dziewczyną – domyślił się Martoflak.
- Albo z podejrzanym gardłem – rozjaśnił się Grześ.
- Albo siedzi na sedesie...
- Albo wisi na żyrandolu...
- Albo ma watę w uszach...

* Aluzja do zbrodni popełnionych przez prototyp postaci Stadnickiego – Pawła Macapurę z „Eneidy” Iwana Kotlarewskiego.

– Albo przykrył telefon poduszką...

– Słyszycie? – spytała Marta, która od jakiegoś czasu przysłuchiwała się odgłosom z za okna.

Wtedy rzeczywiście usłyszeli, usłyszeli gdzieś tam na uliczkach Czortopola, w dole, pod nimi, serie z automatów, pojedyncze strzały, bieganinę, wycie silników, niezrozumiałe krzyki. Rzucili się do okna i zobaczyli pod hotelem kilka ciężarówek, z których wyskakiwali żołnierze w pełnym rynsztunku, w hełmach, z automatami i maskami przeciwgazowymi, w polowych mundurach. Szybko i sprawnie dzielili się na niewielkie grupki i rozbiegali po przyległych ulicach. Oficerowie rzucali ostre, krótkie komendy.

– Aż miło popatrzeć – powiedział Martoflak.

Drzwi do pokoju otworzyły się tak, jakby ktoś w nie kopnął. Wszedł bardzo młody porucznik o nieubłaganym wyrazie twarzy. Za plecami miał dryblas z brygady antyterrorystycznej z automatem w ręku.

– Wsiem wychodit', stroitsa na ulice* – krótko rzucił porucznik.

– Tak w ogóle to niezły pomysł, stary – zgodził się z nim Martoflak – ale po kiego tam iść...

– Mołczat'! – przerwał mu sierżant. – Prikaz komiendanta garnizonu. Wsiem stroitsa na ulice**.

– A idź do diabła ze swymi wygłupami – ziewnął Gajski.

– W protiwnom słuczaje ja imiejju prawo primienit' specjalnyje sriedstwa*** – wycedził porucznik.

– Chwileczkę, proszę wyjaśnić, co się stało, nie możemy tak po prostu wziąć i pójść – zmienił ton Martoflak.

– Wsiem stroitsa na ulice – z nutką zmęczenia w głosie powtórzył porucznik. – Budiet pieriedano wažnoje prawitielstwiennoje soobszczenije****.

– A co z Kartą Praw Człowieka? – zadał zjadliwe pytanie Niecnota.

* Wszyscy wychodzić, ustawiać się na ulicy.

** Milczeć! Rozkaz komendanta garnizonu. Wszyscy ustawić się na ulicy!

*** W przeciwnym razie mam prawo zastosować środki specjalne.

**** Wszyscy ustawić się na ulicy. Odczytane zostanie obwieszczenie rządu.

– Chwatit! – wybuchnął porucznik. – Niemiedlienno wyjti i stroitsa. Chwatit. Konczyłoś wasze wriemia*!

Pod hotelem, na ulicy, ustawiono ich w kolumny po dwoje. W ciągu dziesięciu–piętnastu minut specjalne brygady oczyściły hotel z gości przybyłych na święto – zaspanych, nie do końca ubranych, w karnawałowych strojach – i pognali wszystkich w kierunku rynku.

– Nie rastiagiwatsa, bystrieje**! – komenderowali sierżanci idący z boku i poszturchiwali automatami zbyt ociężałych. Prawie biegli – Aniołowie, Saraceni, Kozacy i wszyscy pozostali, nie rozumieli, co się stało. Wyciągniętych z ciepłych łóżek poganiano automatami, dokądś pędzono, może na odczyt z obrony cywilnej, a może po to, by rozstrzelać. Nikt nic nie wiedział.

– Pewnie wprowadzono stan wojenny – z trudem łapiąc oddech szepnął Martoflak.

Marta szła obok niego, przerażona, w tym samym, co przedtem, szlafroku na gołe ciało.

– Boję się – co z naszymi dziećmi?

– Nie warto martwić się na zapas, przecież nic nie wiemy – próbował uspokoić ją Martoflak.

– Nie chciałam jechać. Po co tu przyjechałam? – Marta nie przestawała biadać.

– Przynajmniej mamy szansę umrzeć w tym samym dniu – powiedział Martoflak.

– Ej, ty, koleś, do rezerwy? – krzyknął Niecnota do jednego z żołnierzy.

W odpowiedzi dostał porządnego szturchańca w plecy. Grzesiek chciał odpowiedzieć tym samym, żeby koleś wiedział, jak wymachiwać łapami, ale Niecnota złapał go i z całej siły przycisnął do siebie.

– Nie ruszaj tego gówna, Grzesiek – powiedział. – Gówniarze służby wojskowej nie widzieli, pętaki, parszywce, gnoje.

* Dość! Natychmiast wychodzić i ustawiać się. Wasz czas już się skończył!

** Nie rozciągać szeregu, szybciej!

Tylko Gajski szedł całkiem niewzruszony w parze z jakimś młodym katolickim księdzem.

Na ulicach dawno już było jasno, więc wszyscy mogli zobaczyć, ile wojska jest w mieście. Wszystkie boczne uliczki zagrodzono ciężarówkami i samochodami pancernymi. Grzesiek zgrzytał zębami i zaciskał pięści.

– Kanał, znowu kanał.

Zajęli wszystko, co się dało: telegraf, pocztę, mosty, banki, hotele, opanowali Kreml i Ermitaż, jak również wszystkie obiekty strategiczne, mają czołgi i broń, operację przeprowadzono błyskawicznie, za pomocą broni chemicznej i drutu kolczastego, w ich rękach są klucze do wszystkich więzień i szpitali psychiatrycznych, zaskoczyli nas gołych w łaźni, w ciągu dwóch-trzech godzin władza znalazła się w ich rękach, teraz będą mogli zaprowadzić wymarzony porządek i wypowiedzieć upragnioną wojnę reszcie kuli ziemskiej, każą nam położyć się twarzą do ziemi na bruku, a potem będą komenderować „padnij-powstań”, będziemy wstawać, a potem znowu padać na rozkaz, przecież zajęli Kijów i Lwów, a nawet Zaporozże, wszystko w ciągu tych dwóch-trzech godzin, ktoś bardzo dokładnie wszystko obmyślił, ktoś dostanie za to order Pięcioramiennej Gwiazdy, bo są teraz już wszędzie, w Muzeum Sztuki Ukraińskiej urządzono posterunek, a w Katedrze – areszt, więc nic nie poradzimy, Marto, moja Mała, jedyne, co zdołam zrobić, to przepuścić twoje kule przez siebie, nic więcej, a chłopcy niech sobie radzą jak chcą, poza tym śmierć przez rozstrzelanie nie jest najgorszą rzeczą dla poety, och, jakże ogromną stratę poniesie literatura ojczysta, „rozstrzelane odrodzenie”, napiszą o nas potomni, jeżeli będziemy mieć potomków, jeżeli dopuszczą do tego, że będziemy ich mieć, a mogą nie dopuścić, bo mają już w tym ogromne doświadczenie, jak pozbawiać nas potomnych, to najważniejsza sprawa, główny cel, jak głupio wszystko wyszło, nie chciałem cię skrzywdzić, Marto, nie zdążę ci już opowiedzieć o wszystkim, o Gaju, który cię kocha, o Grzesiu, urodzonym w Karagandzie, o Jurku, któremu odbierają ostatni rok je-

go życia, czy w najlepszym wypadku dwa lata, ale szczyć się tym, że jestem tu i teraz z nimi, że rzucą nas do wspólnego dołu wraz z Żydami, prostytutkami i Cyganami, szczyć się znajomością z tymi chłopcami, to wspaniali poeci, a najlepszym tego potwierdzeniem jest to, jak umrą, ale inaczej nie może być, zresztą po co żyć, jeżeli nawet w naszej ulubionej kawiarni umieścili radiostację, a w siódmym niebie poligon raketowy, po cóż żyć, skoro radary służyć im będą do czytania w naszych duszach, skoro będą wzywać nas na szóstą rano do mycia zaplutyh spluwaczek; o ile mądrzej będzie tego nie dożyć, więc trzeba któregoś z nich sprowokować, powiedzmy, charknąć mu w gębę, nie wytrzyma, puści serię z automatu, bo grunt to honor żołnierza, ważniejszy od niego może być jedynie rozkaz dowódcy, zrobiłbym taki numer już, zaraz, w tej chwili, ale najpierw muszę przepuścić przez siebie twoje kule, nie mogę pozostawić tego Gajskiemu, chociaż kocha cię, ale twoja ręka leży w mojej, dawno nie trzymaliśmy się za ręce, ostatni raz gdzieś siedem lat temu, nosiłaś wtedy Oleńkę i szminką malowałaś moje portrety na lustrach naszego domu...

Na rynku uformowano z was szeregi, plecami do słońca nad ratuszem. Było was wiele – setki takich jak wy, którzy przyjechaliście weselić się na Święcie Ducha Zmartwychwstałego. Milczeliście i wpatrywaliście się w oficera, przechadzającego się tam i z powrotem, spoglądającego wciąż na zegarek i wypatrującego czegoś od strony dawnej ulicy Sakramentek. Flagę z ratusza zdjęto.

Ty, Martoflaku, trzymałaś się ręki żony, niczym ostatniej deski ratunku, ty, Jurku, oblizywałeś wyschnięte wargi, ty, Grzesiu, usiłowałaś przypomnieć sobie swój ostatni wiersz, którego nie zdążyłaś zapisać, a ty, Gajski, coś malowałeś czubkiem buta na starym bruku, ale nic z tego nie wychodziło, but nie pozostawiał śladu.

Punkt siódma od strony dawnej ulicy Sakramentek nadjechał elegancki jeep. Zatrzymał się sto metrów przed wami. Wiatr nosił śmiecie, pozostałe po święcie, bawił się zwitkami serpentyn, pożółkłymi gazetami, balonikami, strzępami

flag i chorągwi cerkiewnych, napinał stojące jeszcze na rynku namioty.

– Wnimanije! – huknął oficer.

W jeepie wstał ktoś ubrany w panterkę, z potężnym megafonem na piersi. Usłyszeliście jego metalowy, zniekształcony przez megafon głos:

– Moi Państwo! Szanowni zebrani! Bracia i siostry! Miło mi powitać Was w drugim dniu naszego szalonego święta. Wita was reżyser i scenograf tego święta, Stanisław Stadnicki. Myślę, że wszystkim spodobał się dość śmiały i nieoczekiwany żart, ten happening, którego uczestnikami mimo woli staliście się. Mam nadzieję, że nikt z państwa nie czuje się obrażony ani pokrzywdzony. Zresztą w programie obiecywano przecież niespodzianki. Za dwie godziny zapraszam wszystkich na świąteczny festyn. Można się rozejść i kontynuować zabawę. W scenach zbiorowych udział brali aktorzy młodzieżowego eksperymentalnego teatru. Podziękujemy im za to gorącymi oklaskami!

Obróceniu plecami do słońca, jak szaleni zaczęliście bić brawo i nie mogliście skończyć, aż ręce bolały, ale nie przedstawialiście klaskać, zaś oficer i żołnierze kłaniali się bezustannie. Stadnicki zeskoczył z jeepa i kłaniając się, wśród oklasków i okrzyków „brawo”, podążył w waszą stronę. Był po prostu genialny, błyszczał cały, lśniły jego okulary, zęby, buty. Poznał was jeszcze z daleka, pomachał ręką i truchtem podbiegł do was.

– No i jak? – zapytał, obejmując i całując wszystkich, szczególnie Martę.

– Good! – powiedział Gaj.

– Nie wyobrażacie sobie nawet, ile to wszystko kosztowało: automaty, samochody, dziesiątki skrzynek ślepych naboii, ile się nabiegałem, żeby to wszystko skołować, sponsorzy pomagali, ale wszystkiego sam musiałem przypilnować, świetnie, że przyjechaliście, tu jeszcze nie takie rzeczy...

– Do twarzy ci – przerwał mu Martoflak.

– Co, mundur polowy? – skonkretyzował Stadnicki.

– I w ogóle jesteś swój chłop – powiedział Grześ.

– À propos, pożycz trzy stówy – powiedział Gaj.

- I daj zapalić – zażądał Niecnota.
- Martoflak wypuścił rękę żony.
- To co, wypijemy dziś? – zapytał.
- Tak, ale pamiętajcie, że o ósmej wieczór waszej poezji
- Stadnicki zdjął okulary i przetarł je chusteczką. – Będziecie deklamować swoje wiersze, chłopaki.

Wrzesień – październik 1990 r.

DIABLE HARCE W CZORTOPOLU

Do mitycznego Czortopola jadą czterej młodzi, ale już znani literaci ukraińscy. Pociągiem, autobusem, samochodem tajemniczego doktora Popiela ze Szwajcarii zdążają na Święto Zmartwychwstałego Ducha. Impreza to szalona: na poły patriotyczna msza, na poły piknik z atrakcjami, do tego na prowincji, ale nassegnanej historii, gdzie każdy z poetów znajdzie jakiegoś własnego ducha, który doń przemówi. Ale poeci, choć z pokolenia trzydziestolatków, są już w wieku, gdy traci się złudzenia, nie mówiąc o cnocie, co autor książki sygnalizuje nam bardzo szybko. Narodowy jubel też nie ostaje się przed kpinką. Poczytajmy program imprezy:

Szanowni zgromadzeni, Rodacy, mili Państwo!

I my doczekaliśmy się tego dnia, kiedy ciemne siły zła i reakcji, zwalczane przez Wielkiego Ducha Kozaczyzny zdrzały i wpadły w przerażenie! Mamy niepowtarzalną okazję pokazania samym sobie i całemu cywilizowanemu światu, że jesteśmy nieodrodnymi synami naszych świetnych przodków. To święto jest potrzebą dnia dzisiejszego, ono zjednoczy nas w jednym wielkim porywie tworzenia nowych wartości, w porywie tworzenia i budowania.

Gajski, Chromolski, Niecnota, Martoflak z piękną żoną Martą lądują więc przede wszystkim w centrum frazesu, którym ga-

da odrodzony kraj. Andruchowycz przyrządza ów frazes z bezli-
tosną precyzją: splata go z treści narodowych, ale dziwacznie po-
żenionych z resztkami komunistycznej nowomowy, z naiwną,
podlotkową emocjonalnością, z relikdami jakiegoś mitologiczne-
go, polsko-ukraińskiego języka przeszłości. Sytuacja niczym
z Wesela Wyspiańskiego: „miastowi” przyjeżdżają na prowincję
zabawić się z „ludem”, ale w oczyszczającą moc obrzędów ani tro-
chę nie wierzą, pozostaje im więc tylko upić się i zabawić, a mo-
że też załatwić jakieś drobne interesy. W istocie Święto Zmar-
twychwstałego Ducha zdaje się być przede wszystkim wielkim
cyrkiem:

Na jednym z podestów pokazują pantomimę, gdzie
wszystko polega na żonglowaniu kielbaskami, które tak na-
prawdę mogą być czymkolwiek. Na innym trwa konkurs
dowcipów; jakiś namolny stryjek stoi zbyt blisko mikrofonu
i opowiada, jak ożenił się młody chłopak i co z tego wyszło.

– Pohamujcie się! – krzyczy siwowłosy prorok z innego
podestu. – To ostatnia chwila!

Prorok okaże się wprawdzie za chwilę takim samym jak inni
błaznem, a całe święto – karnawałową feerią iluzji i nonsensu, ale
całym tym cyrkiem kręcą jednak, jak u Wyspiańskiego, upiory i za
chwilę każdy z bohaterów spotka widmo na swoją miarę: Grześ
Chromolski w przebraniu siczowego strzelca zabłądzi w okolicę
naznaczoną pamięcią masowych egzekucji i wywózek, Jurek
Niecnota znajdzie się na pachnącym piekielną siarką przyjęciu
międzynarodowej wyższej socjety z polsko-austriackich czasów.
Martoflak – w pogoni za młodziutkim urokiem czarnoookiej dziew-
czyny – trafi do podrzędnego burdelu i przebudzi się w objęciach
podstarzałej szefowej tego interesu. Rzecz cała zakończy się sto-
sunkowo najmilej dla Marty i Gajskiego, którzy odnajdą – siebie
nawzajem, ale także im zjawi się dziwny „narkoman”, niczym
symboliczna figura szaleństwa, jakiemu się zaraz oddadzą. Nieba-
wem jednak rzeczywistość – pięścią zazdrosnego męża – upomni
się o swe prawa.

Bohaterem pierwszoplanowym Rekreacji jest czas. Biegnie
gdzieś górą – historyczny, pełen brzemiennych w skutki wydarzeń
– ale i w dole cieknie powoli, przemieniając z wolna ludzi, dyktu-
jąc im nowe słowa, choć nie zawsze nowe myśli czy zachowania.
A całkiem nisko jest czas, który trzeba przeżyć zaraz, natychmiast,

wypełniając kolejny dzień kończącej się młodości. Czy to wszystko? Ależ skąd! Bo jest tuż obok czas mitu czy marzenia, w którym trwa wciąż raut w Willi z Gryfonami, jest także czas literatury, która – niczym błyszczące tafle szkła w gabinecie luster – odbija w nieskończoność pewne frazy i sytuacje. Dramatyzm książki na tym się zasadza, że poszczególne czasy biegną nierównomiernie: za politycznymi przemianami nie nadąża ludzka świadomość i obyczaj, a wszystko dodatkowo komplikuje się w języku, w którym nakładają się najróżniejsze tradycje i mitologie, tworząc groteskową miksturę – żargon nowych czasów.

W rezultacie bohaterowie nie bardzo wiedzą, kim są, nie umieją się odnaleźć w żadnym solidnym systemie wartości czy choćby symboli. Czy umie to za nich zrobić autor? Nie jest to pewnie jego ambicją. Specjalnością Andruchowicza zdaje się być groteska, parodia, odlot w sferę obciążonego niejasnym znaczeniem sensego marzenia. Czytając *Rekreacje*, miałem stale poczucie jakiegoś *déjà vu*, czy raczej *déjà lu*. Polakowi obok Wyspiańskiego zwidują się w powieści inne jeszcze duchy pisarzy: podejrzany cicerone z ramienia Komitetu Organizacyjnego, Bielinkiewicz, każe myśleć o analogicznych figurach u Konwickiego, podobny nastrój alkoholowej libacji, w czasie której otwierają się (niemyte) dusze, znajdziemy też u Andrzejewskiego czy Nowakowskiego. Rosjanin przymierzy demoniczną postać pana Popiela do Wolanda Mistrza i Małgorzaty, wspomni też może pijacki trans z arcydziełka Jerofiejewa. A cóż mówić o aluzjach do literatury ukraińskiej – tych, które rozszyfrowuje tłumaczka, i tych, których rozpoznać nie potrafimy!

Rekreacje są więc utkane z literatury – i odślaniają jakąś literacką wspólnotę (języka i stylu, motywów i wątków), która łączy sąsiadujące narody, dowodzi podobieństwa tradycji i doświadczeń. Nieważne, czy autor czytał Wyspiańskiego i jego polskich naśladowców, ważne, że mówi tym samym językiem i odlatuje w podobną sferę zakwestionowanych, zdegradowanych, oglądanych z kpiącego dystansu mitów i symboli. Może tylko jeszcze dziksze jest u niego pomieszanie wątków i zmysł absurdu na spółkę z poczuciem fikcyjności, kruchości zamieszkiwanego świata – co kulminuje w zaskakującej finałowej scenie. Bez kwestii, z przywołanych tu upiórów ten finałowy – sowiecki – jest najgroźniejszy – i najbardziej realny, choć przebrany w karnawałową szatę. Może

więc to strach rządzi w Czortopolu? Strach przed przeszłością, w której na próżno szukać przychylnych dniu dzisiejszemu demonów, jedyne, co pozostaje, to oswojenie ich przez śmiech, pastisz, groteskę, zażywanie ich grozy w osłabionej dawce, aby tak pomyslaną szczepionką uleczyć chorobę duszy.

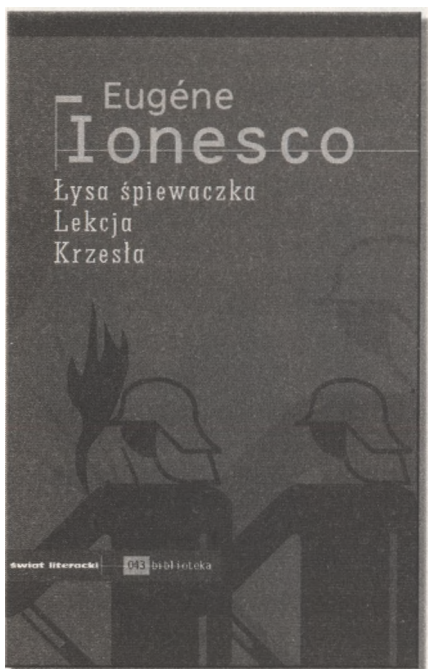
Jerzy JARZĘBSKI

ukazały się: | w serii biblioteka |



Zawarte w książce opowiadania z dwóch tomów Oty Pavla *Śmierć pięknych saren* i *Jak spotkałem się z rybami* to liryczno-groteskowy powrót do mitycznej krainy dzieciństwa, do symbolizowanego przez baśniowy świat przyrody poczucia wolności i pierwotnej harmonii. Szczególną rolę w tym mikrokosmosie odgrywa najbliższa rodzina młodego bohatera, a zwłaszcza portretowany z czułą ironią ojciec, komiwojazer filozof i namiętny wędkarz.

224 strony, biblioteka nr 42

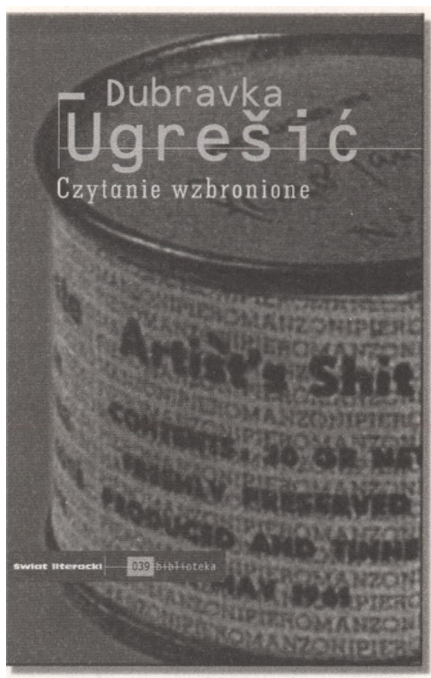


Nieprzemijająca świeżość myśli EUGENE'A IONESCO i jego moc chwytania czytelnika za trzewia wynikają po części ze swoistej formy jego dzieł, w których manifestuje się zarówno jego nieokielznane poczucie humoru, jak skłonność do nihilizmu. W swoim pisarstwie nieodmiennie walczył o prawa człowieka, zagubionego w odhumanizowanych strukturach współczesnego społeczeństwa. Porzucił jednak logiczny rozwój wątku i postaci zastępując to anarchistyczną formą okrutnej komedii. Jej bohaterowie, nieograniczeni wymogami tradycyjnej narracji, dryfują po obrzeżach ustanowionych porządków i obnażają ich kruchość, ich iluzoryczność.

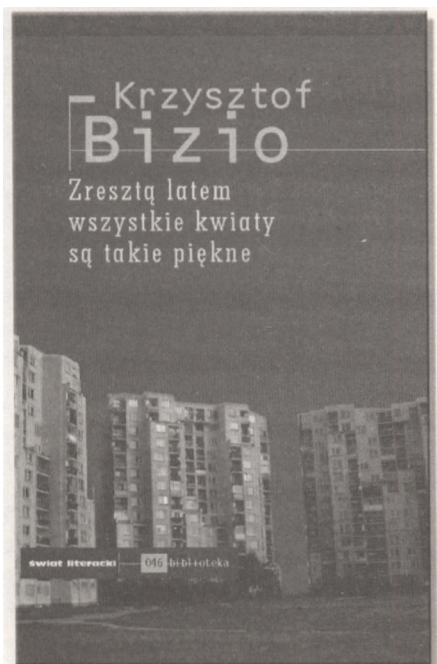
Zawarte w tym tomie sztuki: *Łysa śpiewaczka* (1950), *Lekcja* (1951) i *Krzesła* (1952) należą do jego najwybitniejszych utworów.

176 stron, biblioteka nr 43

ukazały się: | w serii biblioteka |



Pod przewrotnym tytułem *Czytanie wzbronione* kryją się trzydzieści dwa znakomite eseje Dubravki Ugrešić pisane z perspektywy wschodnioeuropejskiego pisarza poruszonego mechanizmami pełnego absurdu i blichtru zachodniego rynku literackiego. Wiedza, przenikliwość i autoironia autorki sprawiają, że książka wykracza poza zakulisowe perypetie pisarzy, wydawców, redaktorów i agentów – zadaje uniwersalne pytania o wolność wyboru, utratę autentyczności, o istotę czytania.
250 stron, biblioteka nr 39



Zresztą latem wszystkie kwiaty są takie piękne to zbiór opowiadań, które łączy zdegradowana rzeczywistość blokowiska. Nie chodzi tu jednak o obrazki z życia subkultury blokiersów: poznajemy tęsknoty, lęki i obsesje przypadkowych ludzi wyłowionych z tłumu, przejmujących i tragicznych w swej przeciętności. Ta mozaika połamanych losów, mikrokosmos codziennej szarpaniny staje się interesującym punktem wyjścia do refleksji o polskiej współczesności.

112 stron, biblioteka nr 46

Jurij Andruchowycz

Rekreacje

Grupka młodych przyjaciół pisarzy przybywa do Czortopola, by wziąć udział w szalonym, groteskowym święcie. W onirycznej atmosferze ludowego karnawału każdy z nich będzie musiał zmierzyć się ze skrywanymi lękami i obsesjami, napotka własne demony.

Znakomite debiutanckie *Rekreacje* (1992)

Jurija Andruchowycza to finezyjna gra z mitami i symbolami, z historią, czasem i literaturą.

To również sarkastyczne spojrzenie na mentalność Ukraińców stojących u progu niepodległości, które w kontekście pomarańczowej rewolucji wciąż zaskakuje przenikliwością i dystansem.

cena: 19,90 zł

ISBN 83-88612-82-4



9 788388 612824

